



ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO – KULTURALNY

★ ŁODZIANIE 73 ★ R. Binkowski – MAZEW – RAZ JESZCZE ★ Z. Miedziński – CZERWONY KASZTELANIC ★ F. Bąbol – MIASTECZKO W LESIE ★ H. Safrin – FRASZKI ★ SEX W LITERATURZE ★ MAŁE KINA ★ IGOR ŚMIAŁOWSKI OPOWIADA ★ FELIETONY ★ RECENZJE ★

TADEUSZ MICHALSKI

ICH ŚWIAT

„Narkomania jest stanem okresowej lub przewlekłej intoksykacji, przynoszącej szkodę osobnikowi i społeczeństwu, wywołanej powtarzającym się zazywaniem leku.

Charakteryzuje się:

1. nieodpartą koniecznością przyjmowania leku i zdobywaniem go wszystkimi dostępnymi drogami,
2. tendencją do zwiększania dawki,
3. psychicznym oraz fizycznym uzależnieniem się od działalności leku”.

(Definicja Komitetu Ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia)

Sanatorium Neuropsychiatrii Dziecięcej – oddział ostrej narkomanii. Wraz z grupą pracowników oświaty jestem uczestnikiem przedziwnego seansu. Spotkania z ludźmi, którzy popadli w ten straszny nałóg, chorobę, która nieubłaganie, jak rak, toczy ich ciało i umysł.

My, zwykli zjadacze chleba, jesteśmy dla tych młodych, inteligentnych chłopców, ludźmi godnymi politowania. Nie dorosiliśmy do tego, aby zrozumieć ich świat, sposób bycia i nową moralność. Jeszcze tak niedawno byli uczniami szkół średnich, zdolnymi, pełnymi wiary w życie, myślącymi jak każdy zdrowy człowiek, o przyszłości, wyższych studiach, pracy, rodzinie...

I NAGLE

I nagle te marzenia, które były dla nich tak łatwe do urzeczywistnienia przysły jak bańka mydlana. Rozsypana się w gruzy cała misternie konstruowana wizja przyszłości.

Dalszy ciąg na str. 5

JAN HUSZCZA

NAD DUNAJEM

BRATYSŁAWA. Choć to rano po paru zimnych dniach, znowu ciepło, zresztą tu właściwie musi być ciepło, ale wiemy przecież, jak to jest z „powojennym” klimatem. Miasto, jak się wkrótce okaże, jakieś dla mnie o wiele łatwiejsze, bardziej zrozumiałe, chociaż zajmujące pokazną przestrzeń. Liczy mniej niż 300.000 mieszkańców. Położone między wzgórzami jak w pięknej koronie naturalnej, blisko rzeki, poza tym z rana cicho, więc mimo tramwajów przypomina mi Wilno.

W dodatku przypadek zdarzył, że na śniadanie wszedłem do kawiarni „przedwojennej” – no wypisz wymaluj, jakieś lepszej wileńskiej o nazwie „Stefánka”. Lustra w ścianach, stare żyrandole, czerwone obicie przysściennych kanapek i foteli, na razie są tylko starsi panowie w binoklach i w okularach, stygnie przed nimi kawa, trzymają przed sobą kije z wpiętymi gazetami. Może w skupieniu czytają, a może są roztrzęsieni, bo przypominają wcześniejsze czasy, gdy odległa o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Wiednia Bratysława łączył tramwaj i jeżdżono do operetki lub do opery...

Jeszcze po wojnie prawie taką była łódzka „Grandka”. Ale ta sprzeczka zle rozumianej modernizacji, ta glu-

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ BLAJER

CZĘŚĆ II

„OPERACJA - BAKU”

W poprzednim artykule Andrzej Blajer przedstawił narodziny dwu planów ataku na Związek Radziecki ze strony Anglii i Francji. „Północny plan” zakładał atak na ZSRR od strony Skandynawii. „Południowy plan” – od strony półwyspu bałkańskiego i z Bliskiego Wschodu. Do akcji tej Anglia i Francja zamierzały wciągnąć: na północy – Finlandię, Norwegię i Szwecję, a na południu – Jugosławię, Grecję, Turcję i Iran. Operacją na południu miał kierować francuski generał Weygand.

Czytaj na str. 3

HISTORIA
HISTORIA
HISTORIA

KONFLIKTY

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ



Fot. Archiwum

Zaczął się wszystko od tego, że spotkałem autentycznego zapaleńca. Pochodził z niewielkiej wioski, gdzie nie tak dawno jeszcze przystawowy diabeł mówił dobranoc. Ot kilkanaście chatup krytych słomą, jeden mizernutki sklep i właściwie to wszystko. Nie, przepraszam, zapomniałbym o akcentach współczesności. Były dwie anteny telewizyjne, dumnie sterczące z zapadających się w ziemię domostw. We „ws” sami starzy ludzie. Młodzi uciekli do miasta. Nic dziwnego.

On jednak pozostał. Nie musiał. Szkołę przecież skończył i łatwo mógł się zacząć gdzieś w mieście. Ma jedną wadę – pokochał ziemię. Za bardzo – jak sam powiada. Spokojnie mu to po nocach nie daje. Nie raz zrywa się z łóżka, siada przy stole i kreśli plany. Plany, które z miernego gospodarstwa starszków uczynić mają obojętne z prawdziwego zdarzenia, takie jakże już nieraz oglądał w telewizji.

Czyta dużo i wie, że jest to możli-

we. Teraz. Bo do tej pory nie był taki pewny. Nie jest jedynym dzieckiem. Starsza siostra i brat studują. Na wieś zaglądały rzadko, chyba tylko wtedy, gdy zabraknie im pieniędzy. Przyjeżdżają, pogadają, z uwagą przeliczą banknoty wysypywane przez ojca ze zniszczonego piteka pamiętającego odległe czasy. Gospodarstwem nie interesują się – co innego w głowie im – tylko wypłaty pilnują. Jak w zegarku.

Nieraz buntował ojca. „Nje dawaj tyle. Chalupe się wali trzeba remontować. Kupić to i tamto.”

„Ale nie pomagają. Dzieciom nie, będę żałował – odparywał stary. Trzeba ich spłacić. I ty musisz o tym pamiętać. Bo jak nie to: ziemi nie dostaniesz.”

„I tak było przez cały czas. Kłómyjka. Dostaniesz, nie dostaniesz. Nje zrażał się tym. Wiedział, że on i tak jest w lepszej niż wielu jego rówieśników sytuacji.”

„Ten list, jaki wydrukowano w „Zarzewiu” – wyciąga podniszczony mocno wycinek z gazety – pokazuje ojcu jak mi już zaczyna sił brakować

Dalszy ciąg na str. 6



KRYTYCZNIE O „ODGŁOSACH”

Do napisania tego listu sprowokowała mnie krótka notatka zamieszczona w nr 50 „Odgłosów” i zatytułowana: „Byłemu czytelnikowi w odpowiedzi”. Czytam Wasz tygodnik z małymi przerwami od samego początku, od pierwszych numerów. Od 1 listopada 1973 r. zwiększył się format tygodnika. Dla mnie najważniejsze jednak jest to, czy wraz z tym przybyły nowe treści. „Odgłosy” są tygodnikiem społeczno-kulturalnym i jako takie zbyt mało zamieszczają ciekawych reportaży o codziennym życiu Łodzi i województwa łódzkiego, jak również o życiu innych rejonów kraju i świata. Jak pisać takie reportaże, aby nie były one nudne i mdłe w czytaniu, o tym wiecie dobrze sami. Przecież macie w swoim gronie takich dziennikarzy jak Karol Badziak, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Marek Wawrzkiwicz i chyba można wymagać od siebie, aby Wasz tygodnik był ciekawiej redagowany niż obecnie.

Nie wiem, co wpłynęło na to, ale faktem jest, iż po ukazaniu się „Odgłosów” w nowej szacie, czyli od 1 listopada 1973 r. tygodnik Wasz stał się jakiś mniej ciekawy, po prostu nijaki. Można powiedzieć krótko, że za dużo w nim literatury, a za mało życia. Przynam się, iż zdarza mi się, że po prostu rezygnuję z zakupu kolejnego, nowego numeru „Odgłosów”, ale nie dlatego, że żal mi jest 3 zł, ale po prostu mniej mnie Wasza gazeta interesuje. Generalnie rzecz biorąc: piszcie ciekawiej, więcej dobrych i interwencyjnych reportaży, więcej piszcie o życiu w innych krajach, również o Europie Zachodniej i krajach mniej znanych – egzotycznych.

Na pewno musicie poprawić szatę graficzną pisma, a jak to wszystko zrobić, o to już musicie zatroszczyć się sami. Z moimi uwagami możecie się zgodzić lub nie, ale w konsekwencji może to doprowadzić do tego, że coraz rzadziej będę kupował „Odgłosy”, a przecież nie w tym rzecz.

Piszcie ciekawiej. Piszcie mniej zawiłych artykułów filozoficznych (niech to robią pisma „powo” literackie, jak

Dalszy ciąg na str. 4

KLASYK PRZYJAŹNI

„Ty jesteś przez to, że światowi poeci” — te słowa Walerego Briusowa o Polsce stały się mottem sesji naukowej poświęconej 100-leciu urodzin wielkiego poety rosyjskiego. Sesję zorganizowała sekcja ruseystów Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego przy UL, na której czele stoi kierownik Zakładu Literatury Rosyjskiej w Instytucie Filologii Rosyjskiej UL dr Zygmunt Grosbart.

Walery Briusow posiadający intuicję uczonego i poety był w historii literatury światowej na miarę Lukrecjusza czy Goethego. Rosyjska kultura wzięła mu jest za przyswojenie nieprzebranych wartości kulturowych wielu narodów i epok zaś literatury obecnej, które Briusow zgłębiał z prawdziwą miłością, odkrył w nich ogromną wartość ogólnoludzką. O pracach Briusowa — uczonego i o znaczeniu ich w dzisiejszych czasach niebawem odkryć naukowcy mówili w słowie wstępnym dr Z. Grosbart.

Profesor z Litwy, dr hab. W. Salinka, który na Wydz. Filologii Rosyjskiej UL wykłada literaturę rosyjską, szczegółowo omówił twórczość W. Briusowa. Jednostką kulturową świata chciał Briusow wyrazić w klasycznej wierszy i poematach zainicjowanej „Sny ludzkości”, gdzie miała się znaleźć liryka wszystkich czasów i narodów — od pierwotnej naiwnej poezji do złożonych tekstów duchowych współczesnego człowieka. Twórczość Briusowa jest zaledwie częściowym spełnieniem zamierzeń poety gdyż tak ogromne przedsięwzięcie nie było na miarę sił jednego człowieka. O związkach Briusowa z Polską interesująco opowiedziała mgr Krystyna Smiechowicz. Briusow niejednokrotnie był w Polsce przyjaźnił się z polskimi literatami ubolewał nad losem Polski w czasach rozbiorów. W obszernym archiwum poety znajdują się listy do niego wielu wybitnych Polaków.

Można zebrać niezwykle trapiący materiał do badań na temat „Briusow a Czechowicz”, „Briusow a Lesman”, „Briusow a Tuwim”, sążnia jednak, że nikt do tej pory nie zajął się wkładem pisarzy łódzkich do upowszechnienia i popularyzacji twórczości Briusowa. Translacje i eseje T. Chrościewskiego, i Sikidyczkiego, czy J. Huszczy były niejednokrotnie zauważane nawet przez krytyków radzieckich. Łódzkich pisarzy, którzy według opinii Wiktora Borisowa stworzyli w ostatnich latach ciekawe środowisko tłumaczy, szczególnie interesuje warsztat translatorski Briusowa, gdyż Łódź literacka bardzo rozszerzyła ostatnio swoje kontakty z poszczególnymi republikami radzieckimi, systematycznie wydając antologię poezji narodów ZSRR.

Kierownictwo Towarzystwa Neofilologicznego przy UL zaprasza do współpracy wszystkie instytucje związane z oświatą i kulturą, m. in. Kuratoria m. Łodzi i województwa łódzkiego, IPPB, Zakład Kształcenia Nauczycieli Przedmiotów Humanistycznych, nauczycieli szkół średnich. Nowy rok działalności rozpocznie się sesją poświęconą tłumaczeniom literatury radzieckiej w Polsce.

WASYL KOCZNOW

◆ **FINISZ OD STARTU** — pod takim hasłem łódzkie gazety codziennie drukują relacje z przedsiębiorstw produkcyjnych Łodzi i województwa łódzkiego. W relacjach tych wykazują, że załogi przedsiębiorstw, pomnie tempa z roku ubiegłego, już od pierwszych dni 1974 roku przystąpiły do intensywnej pracy, szukając wszelkich rezerw, wykorzystując pełne możliwości, aby i w tym roku dać dla kraju i dla zagranicznych odbiorców wysokiej jakości produkcję. I tę wycieczką przez plan produkcyjny i tę — pozaplanową.

Najlepszym za dobre wyniki produkcyjne osiągnięte w poprzednim roku podjęli się osobiście przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych.

◆ **ŁÓDZKA, AGLOMERACJA MIEJSKA** wielkim ośrodkiem naukowym. W Instytucie Inżynierii Komunalnej Politechniki Łódzkiej, przy współudziale specjalistów z Uniwersytetu Łódzkiego oraz Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie powstało wstępne opracowanie określające przyszłość łódzkiego ośrodka naukowego do 2000 roku. Przewiduje ono, że do 1990 roku nastąpi podwojenie liczby studiujących. Dla nich, jak też dla placówek naukowych różnych specjalności wybuduje się nowe pomieszczenia na 600 ha. Wypytowano trzy tereny pod ten ośrodek: Lublinek, rejon Brusa — Konstanynowa oraz Galkówek.

Wstępne opracowanie przyszłości łódzkiego ośrodka naukowego poddane zostanie dyskusji w gronie specjalistów, a następnie w oparciu o ich wnioski podejmie się wiążące decyzje.

◆ **KONIEC LIZOLU** zapowiedzieli Łódzkie Zakłady Farmaceutyczne „POLFA”, rozpoczynając produkcję nowego środka bakteriolobowego — glukonianu chlorohexydyny. Środek ten można stosować nie tylko do dezynfekcji sal szpitalnych, ale również do odkażania narzędzi chirurgicznych, jak i tych obszarów ciała ludzkiego, na których dokonywane mają być zabiegi operacyjne, a także w mieszkaniach jako preparat konserwujący. Glukonian chlorohexydyny jest bezwonny.

Jedynym jego producentem w kraju będą Łódzkie Zakłady Farmaceutyczne „POLFA”.

◆ **„STOMIL” LAUREATEM** konkursu na najlepsze rozwiązanie propagandy wizualnej w zakładzie pracy. Pierwszy tego typu konkurs został ogłoszony w Łodzi, a ostatnio podano do wiadomości wyniki tego konkursu. Pierwsze miejsce otrzymały Łódzkie Zakłady Obuwia i Wyróbów Gumowych „Stomil”, drugie —

NOTY i OPINIE

◆ **ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Union-tex”**, trzecie: ZPB im. Armii Ludowej, Zakłady Włókien Sztucznych „Anilana” oraz Zakłady Przemysłu Dzwierskiego „Femina”, czwarte — Zakłady Przemysłu Jedwabniczego im. gen. W. Wróblewskiego, a piątą — ZPDZ im. M. Konopnickiej. Przynano też szereg wyróżnień.

◆ **JEST W ROZEWIU LATARNIA MORSKA**, w której swego czasu mieszkał Stefan Żeromski. Latarnia ta jest „we władaniu” rodziny Wzorek. Pierwszym był Leon Wzorek, który w czasie drugiej wojny światowej zginął z rąk hitlerowców. Dziś światło na latarni w Rozewiu zapala brat Leona — Władysław Wzorek, który z zawodem latarnika zetknął się w 1924 roku, a w tym roku obchodzi złoty jubileusz swojej pracy.

Jego następcą też będzie Wzorek — Zbigniew, bratanek Władysława, liczący dziś już 50 lat. Pomyślał on o swoim następcy, a będzie nim bratanek (Zbigniewa oczywiście), dziś uczeń szkoły żeglugi rzecznej we Wrocławiu.

◆ **NAJLEPSZYM STUDENTEM AKADEMII MEDYCZNEJ W ŁODZI** okazał się **WOJCIECH PRUSZCZYŃSKI**, student VI roku Wydziału Lekarskiego. Otrzymał on Złotą Odznakę im. M. Kopernika i Srebrną Odznakę im. M. Kopernika jako najlepszy student Wydziału Lekarskiego. Podobną odznakę jako najlepszy student Wydziału Farmacji otrzymał Piotr Maib.

◆ **NOWE CZASOPISMA** ukażą się w styczniu 1974 roku. Są nimi: „MAGAZYN RODZINNY” i „ŻYCIE I ZDROWIE”.

„MAGAZYN RODZINNY” jest miesięcznikiem. Ukazuje się w objętości 92 stron i kosztuje 20 zł. Jest to pismo poświęcone sprawom społecznej rodziny.

„ŻYCIE I ZDROWIE” jest dwutygodnikiem. Ukazuje się w objętości 24 stron i kosztuje 4 zł. Przeważnie jest dla rencistów, emerytów, inwalidów i wszystkich tych, którym choroby odebrały pełną sprawność fizyczną. Pismo służyć będzie im radą i pomocą, dostarczając informacji o pracy w spółdzielczości inwalidów, o możliwościach rehabilitacji zawodowej oraz o sprawach społecznych.

◆ **W STYCZNIU 1974 R. LUBLIN W WARSZAWIE** zainauguruje „PANORAMĘ WOJEWÓDZTWA”, a wzmianką w niej udział wszystkie woje-

wództwa, które zaprezentują w Warszawie swój dorobek kulturalny. Od lutego br. zaczyna Białystok a w lipcu 1975 roku „PANORAMĘ WOJEWÓDZTWA” zakończy ZIELONA GÓRA.

Sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR — Antoni Juniewicz tak scharakteryzował w wywiadzie dla „Życia Warszawy” cel tej imprezy: „...liczymy na wszystko, na pełny przegląd osiągnięć kulturalnych poszczególnych regionów kraju. A zatem: na teatry, na filharmonię, czy inne zespoły orkiestrowe, na estradę, na wystawy plastyczne, na prezentację dorobku wydawnictw książkowych, na spotkania z publicznością warszawską — pisarzy, plastyków, aktorów, muzyków itd.

(...) Wydaje nam się (...), że wymiana kulturalna między poszczególnymi regionami kraju jest chyba dotąd za małą, niekiedy nawet sąsiadujące z sobą województwa nie znajdują dostatecznie nawzajem swojego dorobku kulturalnego.

Zależy nam też, by tę znajomość i wiedzę o kulturalnych osiągnięciach poszczególnych dzielnic kraju — posiadała również Warszawa. Będziemy się także starać, aby społeczne instytucje artystyczne w szerszym niż dotąd zakresie prezentowały swój dorobek w różnych regionach kraju.”

Na marginesie tej wypowiedzi warto tylko przypomnieć, że i Łódź będzie miała swój udział w „PANORAMIE WOJEWÓDZTWA” i trzeba do tego należeć się przygotować. Abyśmy nie wypadli gorzej od innych, a i innym pokazali to, co mamy najlepszego nie tylko w naszej opinii, ale co naprawdę liczy się na krajowym forum.

◆ **ZESPÓŁ PRACOWNIKÓW ŁÓDZKICH ZAKŁADÓW Kserotechnicznych** pod kierownictwem inż. Stefana Jabłońskiego opracował metodę dokonywania odbitek z ekranu telewizyjnego. Metoda ta — jak informował „Głos Robotniczy” — stanowi „światową rewelację”. Wynalazek został opatentowany i spotkał się z uznaniem specjalistów. Gratulując zespołowi z Łódzkich Zakładów Kserotechnicznych, wyrażamy jednocześnie nadzieję, że być może tym razem droga od pomysłu do przemysłu będzie mniej skomplikowana i choć nie usłana różami, to okaże się pozbawiona kolców.

◆ **NOWOCZESNOŚĆ** zawitała do TOTO-LOTKA. Przedsiębiorstwo sprowadziło z NRF maszynę do lo-

sowania szczęśliwych numerów dużego i małego „totka”. Teraz każdy grający może powiedzieć, że jego szczęście zależy już nie od ślepego trafu, a wyłącznie od nowoczesnej maszyny.

◆ **MASZYNA** będzie też sprzedawała bilety na dworcze Bydgoszczy-Główna. Skonstruowali ją pracownicy kolejowych zakładów łączności w Bydgoszczy: inżynierowie E. Karaszowski, L. Banicki, B. Kozłowski i J. Parzys. Jest to maszyna bardzo kapryśna, gdyż można jej za bilet płacić tylko kilkudziesięciu- i jednozłotowymi monetami.

Maszynami tymi zainteresowały się również przedsiębiorstwa komunikacji miejskiej rozważając możliwość zainstalowania „młodszych braci” bydgoskiego „Kasjera” na przystankach autobusowych i tramwajowych. W 1974 roku kolejowe zakłady łączności w Bydgoszczy wyprodukują 3 takie maszyny, z których jedna ma już w najbliższym czasie pracować na stacji Bydgoszcz-Główna.

◆ **PONURA SPRAWA** zdarzyła się w śródmieściu Łodzi. Oto w nocy z 2 na 3 stycznia 1974 roku trzech młodych ludzi, po wypiciu kilku butelek wina, odkręcili liczniki gazowe na klatkach w domach przy ulicy Nowotki 89, Rewolucji 1905 roku nr 40 i Buczka 15. Szczęśliwym trafem nikt nie włączył prądu, ani nie zapalił zapalki w klatkach pełnych gazu. Tylko przypadek spowodował, że dość wcześnie odkryto ulatniający się gaz i dzięki temu nikt nie uległ zatruciu.

Pracownicy Wydziału Kryminalnego KD MO w Śródmieściu ujęli już sprawców. Najstarszy z nich ma 20 lat, nigdzie nie pracuje, był już karany. Pozostali dwaj liczą sobie 17 i 16 lat. Liczniki odkręcili „dla kawału” starym kluczem francuskim. Millicjantom oświadczyli, że „nie zdawają sobie sprawy z tego, że narażają życie wielu osób”.

Zatrzymano ich do dyspozycji prokuratury i Sądu dla Nieletnich. Byłoby dobrze, aby po rozpatrzeniu tej ponurej sprawy przez sąd nazwiska sprawców poznała opinia publiczna.

◆ **OD TRZECH LAT** grasowali w Warszawie dwaj „przedsiębiorczy” złodzieje. Okradali oni... telefoniczne automaty. Opracowali niezwykle prosty system blokowania automatów, a następnie opróżniania ich z bilonu. Ujęto ich przypadkowo.

Przez 3 lata okradli Poczta Polska na około 80 tys. złotych, ale też przez te 3 lata nikomu nie wydał się dziwnym ani mały „utarg” automatów, ani stałe się ich psucie.

RYSZARD BINKOWSKI

M A Z E W - R A Z J E S Z C Z E

Kiedy 1 listopada ub. r. opublikowałem reportaż pt. „Pochówek dla hałaburdy” („Odgłosy” nr 44), nie spodziewałem się aż tak gwałtownej reakcji, chociaż przyznać, że użyłem w tym reportażu ostrych, krytycznych słów pod adresem nielicznej grupy mieszkańców Mazewa, którzy kierowani pobudkami ambicjonalnymi, tracąc zdrowie, nerwy, czas i pieniądze, uparcie dążyli do utrzymania siedziby Urzędu Gminnego w swojej wsi. Moim celem, co wyraźnie podkreśliłem w tekście, było wystąpienie w obronie praworządności, uzdrowienie atmosfery oraz złagodzenie napięcia, jakie wytworzyło

się między mieszkańcami Mazewa i Daszyny.

Tymczasem do redakcji przybyła kilkuosobowa delegacja z Mazewa. Oburzeni delegaci zarzucali mi zbyt krytyczne, krzywdzące przedstawienie atmosfery panującej w Mazewie oraz wytykali pewne nieścisłości. Chcę w tym miejscu od razu wyjaśnić, że faktycznie, korzystając z prawa kamufażu reporterskiego, skomponowałem pewne sceny, których nie było, ale tylko w tym celu, aby ukryć postaci informatorów, ponieważ obowiązuje mnie dyskrekcja i etyka zawodowa. Rzecz jasna, nie szło

mi wcale o mieszkańców okolicznych wsi, lecz o sam Mazew.

* * *

Ponieważ kierownictwo redakcji zdecydowało, że powinienem zająć się tą sprawą powtórnie, wsiadłem w samochód i pojechałem do Mazewa. Po drodze wstąpiłem do Urzędu Powiatowego w Łęczycy, gdzie spytałem naczelnika powiatu, Kazimierza Wielca, co się dzieje w Mazewie po trzech miesiącach. Naczelnik Wielce powiedział:

— We wsi można dostrzec pewne zmiany. Są one nikłe, ale nie odczuwa się już np. tego napięcia, co kiedyś. Ja wierzę w Mazew. Jest tam przecież ciekawa, chętna do pracy młodzież i na nią trzeba stawiać przede wszystkim. Wieś posiada bardzo dobre grunty, ale nie były one dotąd zmeliorowane. Jeśli Mazew wykorzysta tę szansę, jaką dała jej melioracja, jeśli przejdzie do nowoczesności, znacznie planować, jeśli wykorzysta odpowiednio nawozy, nasiona, a także, być może, zechce rozwinąć zespółową hodowlę, ot, choćby poprzez budowę wspólnych budynków inwentarskich, to w najbliższych latach może się stać naprawdę piękną wsią.

Nie chciałbym się powtarzać, więc powiem tylko, że już w bieżącym roku Mazew otrzyma pełny ciąg dróg asfaltowych, między innymi połączenia z Sobótką i Grabowem. Opracowany już jest plan budowy wodociągu, niebawem rozpocznie się budowa biurowca gminnego w Daszynie, aby interesanci mogli być przywoleci przyjęci przez urzędników i należycie obsłużeni. Myślę, że

ta gmina, a wraz z nią Mazew, mogą sięgać po laury w konkursie na mistrza gospodarności nie tylko w skali województwa, ale, być może, i kraju. Przecież we wsi znajduje się wielu mądrych, zaangażowanych, dobrze pracujących ludzi. Proszę ich odzukać, porozmawiać, niech się pochwalą także swoimi osiągnięciami.

Pojechałem do Mazewa i stwierdziłem, że wieś w biały dzień wygląda o wiele korzystniej niż o zmroku, kiedy przebywałem w niej trzy miesiące temu. Wprawdzie higienizacja jest niezbędna, bo większość budynków starych, pod strzechą, ale widzi się też nowe domy murowane. Pierwszym obiektem, do którego trafiliem, był obszerny, czysty plac Międzykółkowej Bazy Maszynowej. Większość maszyn pod dachem, a te na powietrzu ustawione w idealnym porządku. Na każdym kroku znać gospodarską rękę. Kierownik Bazy, Czesław Florczyk, człowiek bardzo obrotny, zaradny, poinformował mnie, że posiada: 18 ciągników, 1 kombajn zbożowy, 4 agregaty omlotowe, samochód dostawczy, 3 opryskiwacze, 4 rozrzutniki do wapna, 2 ładowacze obrotowe oraz inny sprzęt rolniczy. Na jeden ciągnik przypada rocznie 1400 roboczogodzin, dojazdy do pracy u rolników — udziałowców pokrywa Baza; nigdy nie odnotowano w pracy Bazy strata, usługi wykonuje się zawsze w terminie. Zimą ciągniki nie stoją, gdyż pracują w transporcie: wywóz buraków, budowa dróg, usługi dla GS.

Ale są kłopoty, głównie w okresie zniw. Snopowiązalki nadążają, ale jest tylko 1 kombajn, na który znajduje się najwięcej chętnych. I wtedy

trzeba korzystać z pomocy kółka w Daszynie. Tak więc Mazewowi przydały się drugi kombajn zbożowy.

Kolejną osobą, z którą rozmawiałem, była przewodnicząca Kółka Gospodarczego, Krystyna Blaszczyk. Prowadzi Kółko zaledwie od roku, ale ma już 72 członkinie, a wiele chętnych wprost pcha się do tego Kółka, nawet kobiety z Kolonii Mazew i z Jarochówka. Dlaczego? Ano dlatego, że Blaszczykowa dała się poznać jako bardzo energiczna i pomysłowa działaczka. Dzięki jej osobistym staraniom zaczęto sprowadzać do wsi pisklęta: kurczaki i kaczki. W bieżącym roku hodowla rozszerzy się, gdyż gospodynie zamówiły 7 tys. kurcząt i ok. 4 tys. kaczek. Blaszczykowa założyła też wypożyczalnię sprzętu domowego. Posiada m. in. sokowirówkę, szatkownicę, walki do malowania. Dzięki finansowemu wsparciu ze strony kółka rolniczego, jest zestaw naczyń na 100 osób, który pozamawiano już na wesela podczas Wielkanocy. Za wypożyczenia KGW uzyskało dotychczas 2850 zł.

Przydałoby się jednak więcej zrozumienia ze strony OSP, która nie zezwoliła kobietom na urządzenie zabawy, w której dochód miał być przeznaczony na wycieczkę. Ponadto gospodynie z Mazewa zamierzają zakupić magiel i otworzyć zakład fryzjerski. Zycząc im tego serdecznie, bo wiadomo, że zadbana, ładnie uczesana kobieta ma szalony wpływ na męża, co nie byłoby bez znaczenia na zmiany zachodzące we wsi.

Czy w Mazewie są jeszcze inni ludzie, wybijający się ponad prze-

Dalszy ciąg na str. 6

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny) BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ. Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

CZERWONY KASZTELANIC — EDWARD DEMBOWSKI

W pamięci przyjaciół przetrwał EDWARD DEMBOWSKI jako „młodzieńca, szczupłutki, ugrzeczniony do pokory, nieledwie przedstawiał się jako student z zapalną wyobraźnią, lecz dobrym sercem”, mówiąc językiem Narcyzy Zmichowskiej. Jego bliski współpracownik redakcyjny, Hipolit Skimborowicz wyrażał zdziwienie, że „młodzieniec wychowany wśród zimy ludzi, to jest matematyka — astronom, vice Niemca i starego kasztelana ze szkoły puławskiej, przepędziwszy młodość w domu konwencjonalno-formułkowym... mógł wyrósć na zimne zero, tymczasem z tego otoczenia społeczno-dziwnej wybuchnął wulkan”.

Ojciec Dembowskiego, senator-kasztelan, niegdyś protagonista tragedii 1831 roku, do kresu swoich dni zwoleńnik polityki „Hotelu Lambert”, szukał rekompensaty za klęskę ojczyzny w kulturowaniu dumy rodowej i pomnażaniu dziedzicznego majątku. Jedyn syn poszedł zupełnie inną drogą i całe swoje krótkie życie wypełnił służbą dwóm ideom: niepodległości ojczyzny i wyzwolenia ludu. Swoim przykładem realizował wzór patriotyzmu, który przybrał konkretny kształt miłości do najbardziej wgardzonej warstwy narodu. Uczucie to wypływało z subtelnej wrażliwości na krzywdę i nieszczęścia, czyniąc go zdolnym do bezgranicznego poświęcenia.

„On kochał Matkę” — napisał o nim towarzyska lat „chmurnych i górnych”. Narcyza Zmichowska, przy czym „Matka” w języku pisarki, tworzącej pod jarzmem carskiej cenzury, oznaczała oczywiście Polskę. Każdy fragment prac Dembowskiego przepełniony uczuciem, uwidocznione zwłaszcza w tropieniu wśród źródeł zagranicznych wszystkich, co miało jakikolwiek związek z historią naszego narodu. Ale jednocześnie ten płomienny patriota był nieublaganym adwersarzem fałszywej „narodowości, nacjonalizmu przemycanego pod okłoną obrony reakcji i zacofania”.

Dembowski stał się już w okresie warszawskim pierwszym działającym w kraju, polskim socjalistą. A przy tym postawie rewolucyjnej ujawnił w działalności praktycznej. Paralelnie do „kółek entuzjastów” rozwijał aktywność konspiracyjną, powstawił Związek Narodu Polskiego, którego filią było Stowarzyszenie Ludu Polskiego, grupujące radykalnie nastroszone młodzież, stawiające sobie za cel „wyzwolenie Polski spod obecnej przemocy” i demokratyczne przeobrażenie polityczne i społeczne, które by „zupełnie odmłodziło naród”. W ramach tej organizacji narodził się spiszek chtëpski ks. Piotra Ściegiennego, pierwszy na wielką skalę masowy ruch polski, wiążący motywy niepodległościowy z socjalistycznym.

Latem 1843 roku policja carska ujawniła spiszek Stowarzyszenia, tro-

ciągnąć do tego czasopisma szerokie grono współpracowników, rekrutujące się spośród postępowego i patriotycznego odłamu młodzieży. Łamy tego periodyku zasilali bogactwem różnorodnych materiałów w postaci rozpraw filozoficznych i estetycznych, artykułów krytycznych, recenzji, sprawozdań, nie rezygnując z prób twórczości literackiej. Jednocześnie następując z radością odgłosów dochodzących z zagranicy, gdzie budzą się do nowego życia socjalizm i demokracja a w sercach i umysłach gotuje się już wrzenie „Wiosny Ludów”. Łapczywie chłonili nowe idee, które głosił Ludwik Feuerbach, Saint-Simon i Karol Fourier, starając się tłumaczyć je na język polskich marzeń i tęsknot. Instykt działacza nakazuje mu żądać od filozofii, aby ujawniła się w życiu, więc szuka takiego toru tej nauki, która byłaby przejściem od spekulatywnej teorii do „żywota społecznego”, od kontemplacji do czynu.

Niemal instyktownie zbliża się do dróg „lewej strony” szkoły heglowskiej, do poglądów tych grup, które niebawem uderzą gromem „Manifestu Komunistycznego”. Jak oni przechodzi do „dążenia filozoficzno-stosownego”, do socjalizmu.

Dembowski stał się już w okresie warszawskim pierwszym działającym w kraju, polskim socjalistą. A przy tym postawie rewolucyjnej ujawnił w działalności praktycznej. Paralelnie do „kółek entuzjastów” rozwijał aktywność konspiracyjną, powstawił Związek Narodu Polskiego, którego filią było Stowarzyszenie Ludu Polskiego, grupujące radykalnie nastroszone młodzież, stawiające sobie za cel „wyzwolenie Polski spod obecnej przemocy” i demokratyczne przeobrażenie polityczne i społeczne, które by „zupełnie odmłodziło naród”. W ramach tej organizacji narodził się spiszek chtëpski ks. Piotra Ściegiennego, pierwszy na wielką skalę masowy ruch polski, wiążący motywy niepodległościowy z socjalistycznym.

Latem 1843 roku policja carska ujawniła spiszek Stowarzyszenia, tro-

piąc przy okazji śledztwa powołaną rolę Czerwonego Kasztelana w pracach nielegalnej organizacji. 21-letni rewolucjonista cudem uniknął wyciąganej po niego karzącej ręki Paskiewicza, aby uciec do zaboru pruskiego. W owym czasie Poznańskie było najbardziej postępową dzielnicą polską. Szybki rozwój gospodarczy, a także łagodniejsze warunki policyjne i cenzuralne sprawiały, że w tym zaborze mogła kielkować bardziej postępową myśl demokratyczną. Natychmiast też włączył się w wartyki nurt tajnej aktywności Komitetu Poznańskiego, będącego oddziałem Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, udzielając poparcia lewemu skrzydłu Komitetu, orientującemu się na masową propagandę hasła niepodległościowych, które też akcentowało, że w ludzie tkwi zasadnicza siła społeczna przyszłego powstania.

Jednakże głównym terenem działalności młodego „entuzjasty” był Związek Plebejuszy. Organizacja ta, ogarniająca zasięgiem środowiska rzemieślnicze i chłopskie, nasycała się duchem plebejskiego radykalizmu, propagując hasła powiązania insurekcji narodowej z rewolucją społeczną.

Edward Dembowski na pierwszy plan wysuwał rolę demokratycznej, radykalnej rewolucji ludowej, jedynej siły zdolnej całkowicie zniwieczyć formację feudalną. Program ten formułował w ostrej polemice z koncepcjami politycznymi obozu Czartoryskiego. Konsekwentny demokratyzm i „socjalizm chłopski” Czerwony Kasztelanica, uznając ludu jako konieczne — warunki działania zgodnego z naczelnymi ideałami humanizmu, wszystkie te założenia znalazły konkretyzacje w politycznych koncepcjach sformułowanych w środowiskach działaczy konspiracyjnych. Jednocześnie uzyskiwały szeroki reflow w jego teoriach filozoficznych.

W lutym 1845 roku znalazł się w Galicji. Od tej chwili próżno szukać jego nazwiska na szpaltach czasopism, ponieważ pisarz przeistoczył się w organizatora a ideolog w emisariusza. Następuje wówczas najaktywniejszy i najbardziej gorączkowy okres jego bujnego, wypełnionego ofiarą życia. Konserwatywna szlachta widzi w nim zaciętego nieprzyjaciela, więc powstaje gniewnie na tego „demagoga i komunista”.

Więść o wybuchu powstania krakowskiego w 1846 roku dopada go w Łowiczu. Młody rewolucjonista natychmiast przediera się do ogniska buntu. Jego drogą do Krakowa znaczą już liny pożarów w Tarnowskiem. W Wieliczce podniósł do buntu zbrojnego oddział górników, pierwszy zastęp robotniczy, który stanął do walki pod sztandarem „z hasłem: o Polskę i Lud. Na ten czele wmaszerował do przastarego grodu nad Wisłą. W Krakowie stanął od razu na czele walki powstańczej a jako sekretarz dyktatora Tyssowskiego udaremnił prawicowy zamach stanu. Organizuje Klub Rewolucyjny i redaguje odezwę, aby „usposobić lud do podjęcia i ukończenia rewolucji”.

Jednakże plebejskie skrzydło ruchu niepodległościowego nie przekształci-



Fot. Archiwum

ło się samodzielną siłą w rozwoju wypadków, gdyż nie potrafiło na całej przestrzeni kraju przemówić do mas chłopskich własnym, radykalnym, a przy tym antyzaborskim i antyślacheckim językiem. Dembowski zdawał sobie sprawę, że to grzechy szlachty jako klasy, kładą się ciemnym cieniem na ruch demokracji szlacheckiej. Sabotaż szlachty we własnym obozie i ciemnota mas chłopskich z drugiej strony, sparaliżowały wszelkie owocniejsze wysiłki. Wówczas Czerwony Kasztelanica decyduje się na krok rozpaczy i próbuje procesją religijną oddziaływać na pobożne umysły chłopskie, do których nie dotarła jeszcze agitacja powstańcza. Sam staje na czele procesji, która jednak nie dotarła do celu. U bram Krakowa, na Podgórzu, napotyka żołnierzy austriackich. Osaczony, próbuje się przedostać przez zwarty kordon, jednakże pada przeżarty żelazem bagnętów i kul. Długo nie wierzono w jego śmierć. Już 8 miesięcy spał „snem twardym, nieprzemagłym” na cmentarzu podgórskim a jeszcze policja w poszukiwaniu go przetrząsała całe Poznańskie.

Na widokowego polskiego życia naukowego i politycznego w wieku XIX postać Czerwonego Kasztelanica rysuje się jako szczególnie interesująca i wszechstronna. Ten subtelny myśliciel w ciągu swoich krótkich, zaledwie 24 lat życia rozwijał po samodzielnym szlakach naukowych filozoficzną myśl Hegla a zarazem demonstrował mistrzostwo techniki konspiracyjnej. Szczególnie zimną krew zademonstrował w chwili, gdy zakradł się w przebraniu lokaja na posiedzenie austriackich hakiergratów. Płomienny rewolucjonista, polityk o szerokich horyzontach, był jednocześnie erudyta i czułym krytykiem literackim swego czasu.

Sprawie ludu służył mądrze i wiernie, jak prawdziwy jakobin, używając porównania z jego ulubionej dziedziny, Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Edward Dembowski stał się prawdziwym jakobinem polskim, jako klasyczny przykład reprezentanta plebejskiej orientacji ruchu niepodległościowego, toteż czerwoną plamą krwi zapisał swą miłość do ludu.

Intelektualista i działacz

Stosunkowo niedawno, pisząc o Julianie Marchlewskim, zwracałem uwagę na to, jak bardzo niepełna jest nasza wiedza o naukowym dorobku wybitnego rewolucjonisty, skoro nie posiadamy nawet polskiego wydania jego arcyważnej, nieukończonyj syntezy historii Polski, dzieła, w którym autor starał się w sposób świadomy zastosować dyrektywy materializmu historycznego do analizy polskiego procesu dziejowego.

Dochodzą jednak do nas optymistyczne wieści o tym, że podjęto już decyzję o krytycznym wydaniu całości naukowego dorobku J. Marchlewskiego i że mają się tym zająć nasi najwybitniejsi specjaliści. Być może, z okazji tak szeroko zamierzonego przedsięwzięcia, dołączymy się nie tylko publikacji „Zarysu historii Polski”. Kto wie, może odnajdzie się zaginione dzieło J. Marchlewskiego, poświęcone całości naszej historii, które autor miał napisać pod koniec życia. Jak dotychczas wiadomo o nim tyle, że J. Marchlewski miał je nawet w formie ukończonego maszynopisu. Co się z nim potem stało, nie wiadomo.

Przypominam o tym wszystkim dlatego, że sprawa wydania mi się po trosze... typowa. Mam oia przed sobą książkę Felicji Kalickiej o Julianie Brunie — Bronowiczu, wybitnym działaczu polskiego i międzynarodowego ruchu komunistycznego, a zarazem intelektualistycznie wysokiej klasy, autorze znakomitej pracy o narodzinach armii narodowej w rewolucyjnej Francji, świetnych rozpraw o problematyce narodowej, głoszącej przed laty pracę „Stefana Zeromskiego tragedia pomyłek” (1926) i wielu innych. Julian Brun, który przeżywał w 1939 r. w Belgii, po klęsce wrześniowej przystąpił do pracy nad dziełem o historii Polski, któremu nadał nawiązujący jak gdyby do tradycji romantyczny tytuł „Les destines de la Pologne” (co znaczy dosłownie: „Przenaczenia Polski”; Kalicka niecisłe tłumaczy: „Zarys historii Polski”). W pracy tej — powiada historyk — starał się „wyjaśnić źródła, które doprowadziły do klęski”. Pierwszy rozdział pisanego po francusku dzieła, liczący ok. 16 stron maszynopisu, autor przesłał wraz z planem całości do znanego belgijskiego wydawcy „La Renaissance du Livre”, które życzliwie ustosunkowało się do propozycji jego wydania. „Dyrektor wydawnictwa, hrabia Willemotte, zawiadomil Brun listem z 8 stycznia 1940 r., że sprawa wydania książki jest aktualna i należy się pospieszyć z jej zakończeniem. Podczas osobistego spotkania — cytując wciąż słowa F. Kalickiej — ten stary arystokrata powiedział, że przesłany rozdział czytał z wielkim zaciekawieniem i chociaż z ideą pracy się nie zgadza, jednakże temat ujęty jest w sposób bardzo interesujący i dlatego gotów jest ją wydać”. Do wydania jednak nie doszło, bowiem plany te zostały przekreślone przez hitlerowską inwazję na Belgię. W tej sytuacji autor przerwał pisanie dzieła, nie doprowadzając swego zamysłu do końca.

Napisał jednak wcale sporo, bowiem zachowały się, przechowywane w Centralnym Archiwum KC PZPR, trzy rozdziały tej pracy, obejmujące okres od XVI wieku do roku 1903. Obejmują one w autorskim maszynopisie aż 238 stron. Tytuły poszczególnych rozdziałów brzmią następująco: „Rzeczpospolita szlachecka”, „Okres powstań narodowych (1794—1863)”, „Ewolucja kapitalistyczna”. A więc mamy do czynienia ze sporym tekstem, i to wykończonym przez autora, obejmującym ogromny szmat dzieł polskich, z pracą, która na pewno zasługuje na wnikliwe zbadanie, a zapewne również i ogłoszenie jej drukiem.

Jeden z naszych historyków wydał już w 1952 r., po zapoznaniu się z maszynopisem dzieła J. Bruna — Bronowicza, o nim znamienne opinię. Napisał wówczas w notatce, że praca ta powinna „zwrócić na siebie uwagę pracowników historjografii w Polsce jako jedna z pierwszych prób marksistowskiej syntezy. Podkreślił przy tym, że chociaż „posiada ona i musi posiadać, jeśli weźmiemy pod uwagę czas i warunki, w jakich była pisana, poważne braki”, to jednak do zalet jej należy ustalenie problematyki z punktu widzenia klasy robotniczej, marksistowska rewizja sądów literatury burżuazyjnej w szeregu kwestii oraz twórcze wykorzystanie faktów zgromadzonych przez dotychczasową literaturę dla próby nowej oceny”. Czasy, w których formułowano tę opinię, nie były jak wiadomo najkorzystniejsze dla właściwej oceny znaczenia dorobku przedstawicieli naszej lewicy w okresie przedwojennym, dzisiaj, kiedy schematy zostały przezwyciężone, czas już wielki, aby wydobyc z ukrycia tę pozostałą część dorobku wybitnego komunistycznego intelektualisty. Sądzę, że nie będziemy na to długo czekać.

„OPERACJA - BAKU”

ANDRZEJ BLAJER

Realizacja obu planów wymagała jednak oprócz intensywnych przygotowań militarnych i skorelowania działań z Brytyjczykami również odpowiednich akcji na płaszczyźnie dyplomatycznej. Chodziło bowiem o nakłonienie rządów państw bałkańskich i bliskowschodnich do wzięcia udziału w planowanej przez Zachód awanturze antyradzieckiej. W świetle tajnej korespondencji ambasad w Ankarze i Teheranie z Foreign Office i Quai d'Orsay wynikało, że nie napotkano w tym względzie większych trudności. Na początku marca 1940 r. do Bejrutu przybył również dowódca brytyjskich sił powietrznych na Bliskim Wschodzie marszałek lotnictwa Mitchell. Celem jego misji było uzgodnienie ostatnich szczegółów wykorzystania irańskich, syryjskich i tureckich baz lotniczych do przygotowywanych bombardowań ropośnych terenów Baku i Batumi. Gen. Weygand wspomina o tym w swoim raporcie z 7 marca 1940 r. przesyłanym gen. Gamelinowi:

„Dowódca sił lotniczych na Bliskim Wschodzie, marszałek lotnictwa Mitchell znajdujący się w drodze do Ankar, przybył do Bejrutu w towarzystwie gen. Jauneaud i powiadomił mnie, że otrzymał z Londynu instrukcje dotyczące przygotowania ewentualnego bombardowania Baku i Batumi. Poinformował on mnie o twarce, że ma zamiar poprosić marszałka Czakmaka (głównodowodzą-

go armii tureckiej), aby ten pozwolił na przeprowadzenie badań w rejonach Diarbekiru, Erzerum, Karsu i jeziora Yan w celu znalezienia terenów nadających się do etapowego lądowania samolotów, mających swą główną bazę w Dziejirah (francuska baza lotnicza w Syrii)”.
W instrukcjach jakie gen. Gamelin przekazał w odpowiedzi Weygandowi czytamy między innymi:

„Niniejszym potwierdzam panu, iż moim zdaniem, akcja na Środkowym Wschodzie powinna być pozostawiona pod dowództwem tureckim, akcję na Kaukazie powinny przeprowadzić tureckie siły zbrojne przy udziale lotnictwa oraz ewentualnie specjalnych formacji alianckich. W sprawie tej może pan nawiązać kontakt z marszałkiem Czakmakiem i wziąć udział we wszystkich krokach przygotowawczych dotyczących Środkowego Wschodu (...)”.

Zarówno Gamelin jak i Weygand uważali, że atak na ZSRR od strony południa daje aliantom znacznie większe możliwości działania niż operacja skandynawska (liczono się bowiem z czynną pomocą ze strony Jugosławii, Rumunii, Grecji i Turcji). Toteż, gdy z chwilą kapitulacji Finlandii i zajęcia przez Niemcy Norwegii nad całym tym misternym planem uderzenia na Związek Radziecki od koła podbiegunowego aż po Kaukaz, zawisła groźba totalnego fiaska, sztabowcy aliancy porzucili koncepcję „Północnego planu”, koncentrując całą swoją uwagę na południu w nadziei, że uda się jeszcze uratować sytuację. Tak więc gra toczyła się dalej.
4 kwietnia 1940 r. na posiedzeniu

Atlantyckiej Rady Wojennej dokonano ostatecznej analizy założeń strategicznych „Południowego planu”. Jak wspomina później w swych pamiętnikach gen. Gamelin opisując przebieg narady:

„Pod koniec postanowiono kontynuować przygotowania do operacji przeciwko rosyjskim rejonom naftowym. Większość obecnych tam ministrów z całego serca wypowiedziała się za tym”.

Już następnego dnia gen. Weygand otrzymał rozkaz przygotowania się do realizacji operacji „Południowy plan”, przy czym w pierwszej fazie nalotów na radzieckie szyby naftowe Kaukazu miało wziąć udział ponad 100 bombowców. W odpowiedzi gen. Weygand meldował gen. Gamelinowi: „Ze względu ostrożności nakazuję termin operacji wyznaczyć na koniec czerwca — początek lipca, a to z uwagi na absolutną konieczność zakończenia wszystkich przygotowań przed rozpoczęciem operacji. Czas ten potrzebny będzie również Turcji, o czym donosił już Massigli (ambasador Francji w Ankarze), albowiem Turcja musi się tak przygotować, aby była w stanie odeprzeć wszelką kontratakę, jaka może nastąpić po przeprowadzeniu bombardowania”.

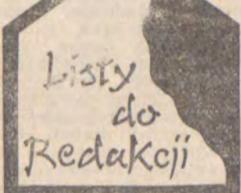
Tak więc 17 kwietnia 1940 r. 117 bombowców zorganizowanych w 9 eskadr stało gotowych do ataku na pola naftowe Kaukazu. Wbrew oczekiwaniom dowódcą tego lotnictwa nie był marszałek Göring, a gen. Vuillemin, akcja nie rozgrywała się w Berlinie lecz w Paryżu, a bombardcami zaś nie były o dziwo Heinkle i Junkersy ale francuskie Farmany i brytyjskie Wellingtony. Jednakże Anglikom i Francuzom wyraźnie brakło „szczęścia”. Oto bowiem mimo usilnych przekonywań Turcja zaczęła obecnie odczuwać silną awersję do całej tej awantury, zaś spośród innych państw bałkańskich i bliskowschodnich zachęcanych do wzięcia udziału

w krucjacie przeciw ZSRR, jedynie Iran zgodził się odegrać powierzoną mu rolę, pozostałe zaś obiecały tylko przekazanie aliantom swych lotnisk, uzależniając swoje przystąpienie do operacji od uzyskania przez nich powodzenia.

O całkowitej ignorancji stosunku sił i przecenieniu własnych możliwości świadczy fakt, że naczelny dowódca sił anglo-francuskich na kontynencie gen. Maurice Gamelin przekonywał się, iż aliancki atak na Kaukaz „doprowadzi Związek Radziecki w okresie jednego miesiąca do tak trudnego położenia, że znajdzie się on w niebezpieczeństwie całkowitego załamania się”, co pozwoli zarazem zamknąć blokadę Niemiec od wschodu. Na uwagę zasługuje tu fakt, że konsultantem gen. Gamelina odnośnie sił i możliwości działania Armii Czerwonej był premier polskiego rządu emigracyjnego gen. Władysław Sikorski. Miał on jakoby stwierdzić, iż armia radziecka „dysponuje jedynie dwoma dobrymi dywizjami” podczas gdy wszystkie pozostałe „przedstawiają sobą mizerną wartość”. Snując swoje iluzoryczne i pozbawione jakikolwiek sensownych podstaw plany francuscy i angielscy wojskowi obliczali, że w ciągu pierwszych 6 dni nalotów zniszcza około 30—35 proc. kaukaskich rafinerii naftowych. Według tych projektów — francuskiego (RIP) i brytyjskiego (MAG) — na początku kwietnia 1940 r. zdecydowano, że zaatakowane zostaną radzieckie rafinerie i instalacje portowe w Batumi, Poti, Groznyj i Baku. W każdym ataku przewidywano zrzucenie na blisko 100 wybranych celów około 70 ton bomb o wadze 50 — kg każda (17). „Operation Magique” — jak określili ją francuski generał lotnictwa Chassin, dodając — „70 ton bomb na 100 rafinerii. Mam wrażenie że śnieg”. Mimo, że z klęską Francji sen zniknął, Anglicy po pewnym czasie zaczęli ponownie „odgrzewać” dawny zamysł. Oto bowiem w

Dalszy ciąg na str. 4

LEKTOR



Dalszy ciąg ze str. 1

„Kultura” i inne, więcej artykułów o życiu i obyczajach powszednich nas i innych ludzi na świecie.

INZ. JERZY BUCZKOWSKI (Pabianice)

„TERESKA OD HUBALA”

Jestem siostrą „Teresi” — łączniczki Hubala — Marianny Cel, nazywam się Zofia Salicka, z d. Cel. Piszę ten list pełen oburzenia po przeczytaniu reportażu Ryszarda Binkowskiego (patrz „Teraska od Hubala” — Odciosy nr 51/52, 84). Dość już mam tego wyciągania bzdurnych i nieprawdziwych faktów z życia mojej siostry. Ja, jako najbliższa, żyjąca jej rodziną nie życzę sobie wprost wypisywania tych wszystkich niezgodności, a chcę zaznaczyć, że mam prawo nie zgodzić się na publikowanie pewnych spraw z jej życia osobistego nawet wtedy, kiedy byłby one zgodne z prawdą a stawiałoby ją w złym świetle, a co dopiero wtedy, kiedy nie zgadzają się z prawdą. Wychołałam się razem z nią i znam najlepiej jej i swoje życie, a od kogo są wszystkie dane o mojej siostrze? — Od ludzi obcych, którzy wiele spraw przekraczają, może nie znają lub nie pamiętają pewnych faktów.

Przed realizacją filmu „Szalony Major” p. reżyser B. Poręba był w naszej rodzinnej wsi, nie był nas jednak jako była Tereska w życiu prywatnym. Zolnierz Hubala, który był konsultantem tego filmu mogli nakreślić jej sylwetkę, ale tylko z okresu bytności w oddziale, a jako była prywatnie nie mogli wiedzieć, bo skąd? Dlatego też i w filmie nie wszystkie fakty zgadzały się. Nie były to jednak tak rażące różnice, jak w omawianym reportażu.

Cóż dobrego zrobił R. Binkowski? Pojechał do wsi Cis i zatrzymał się u sołtysa, który poprosił do wywiadu swojego brata, tymczasem o dwa domy dalej stoi rodzinny dom Tereski, a w nim do tej pory mieszka kobieta (nazwa manocha), która nas wychowała, która trzyma się tej ziemi i nie chce stamtąd wyjechać. Staraliśmy się, aby tej kobiecie dać jakąś pomoc materialną i satysfakcję moralną za to, że wychowała Tereskę, tymczasem Binkowski, który wiele dla jej dobra i dobra sprawy, jakie się tam rozgrywały z jej udziałem. Nie udało się, nikt nie zainteresował się tym, a wręcz odmówiono nam, a tymczasem redaktor przejechał do wsi, zwalając trzeci obcych ludzi (w tym dwóch braci, którzy mają identyczny pogląd na wiele spraw) i pisze to, co im się przypomniało.

Piotr Kowalski mówi, że miała siostrę: Zoskę i Jankę, które „mieszkały gdzieś w Łodzi”, a doskonale wie, gdzie mieszkamy. Nieprawda, że chleb był u nas wydziałem, pod kurzem. Bieda u nas była, tak jak wszędzie, ale tego cała była nikt przed nami nie zamknął na klucz. Maryska nie jadła z nikim z jednego garnka, to już powiększanie swej roli przez Piotra Kowalskiego. Kategorycznie zaprzeczam, iż nie było nas w gospodarstwie, a miedzą dla dzieci zawsze było.

Piotr Kowalski mówi, że w wieku 15 lat Tereska poszła na służbę do Żydów, żeby się „podreperować”. Coż on może wiedzieć, po co pojechała do Łodzi? Była w Łodzi, to prawda, ale u ludzi bardzo mądrych i dobrych Polaków, którzy pomogli jej, aby mogła poznać to, co ją interesowało. Tereska w Łodzi nawiązała kontakt z jakąś organizacją, skończyła kurs polityczny, skakała ze spadochronem i po przyjeździe do wsi była dziewczyną nie tyle „podreperowaną” materialnie, ale z wielkim wyrobieniem społecznym i politycznym. Dlatego w czasie okupacji wiedziała, jak można dokonywać akcji dywersyjnych, na jej możliwości, umiała posługiwać się mapami topograficznymi, umiała ludzi przeprowadzać przez lasy, sobie tylko znane ścieżkami. Tak, to prawda że była odważna, ale także mądra i potrafiła raz jeszcze — wyrobiona społecznie, wielką patriotką, o czym nie mówi nikt z rozmówców R. Binkowskiego.

Samo spotkanie z Hubalem też wyglądało inaczej. Ktoż to może wiedzieć lepiej, jak nie ja, która słyszałam jej każde słowo, która nam w domu mówiła najwięcej z tego co mogła powiedzieć, wiedziała bowiem, że nie należy za dużo mówić. Ktoż był przy scenie catowania Hubala po rękach? Nawet byli żołnierze Hubala tej sceny w filmie nie zaakceptowali, a Piotr Kowalski, który siedział w chałupie, wie, że kłóczyła przed mjr. Dobrzańskim.

Jakaś mania catowania po rękach i nogach przewija się w tym reportażu. Tereska bardzo kochała swego ojczyma, czyli Wincentego Cella, i nie potrzebował on catować jej po rękach i nogach, aby nie wykonywać wyroku na człowieka, który zdradził. Wiedziała ona dobrze, co czeka rodzinę i wieś po spełnieniu wyroku.

Wyjaśniam tylko część spraw, które wydawały mi się najbardziej wypaczone i nieprawdopodobne, ale jest jeszcze wiele faktów przedstawionych niezgodnie. A więc, reasumując powyższe, bardzo proszę o niepublikowanie jakichkolwiek artykułów czy reportażów z życia mojej siostry, bez uzgodnienia z jej najbliższymi, bo w czasie okupacji ludzie siedzieli w strachu w swoich domach i wielokrotnie nie chcieli nawet wiedzieć o tych sprawach, a co dopiero znać szczegóły. Myślny znał ją najlepiej, nikt jednak nigdy nie pytał nas o to, a ciągle mimo to znajdują się informatorzy, którzy plotą to, co im się przypomniało lub co przypuszczają.

Mam prawo, a nawet obowiązek żądać, aby ukazało się w tym samym tygodniku sprostowanie niektórych faktów, zawartych w reportażu „Teraska od Hubala”.

ZOFIA SALICKA (Łódź)

Dalszy ciąg ze str. 1

potę niektórych dyrektorów i ich architektów, to nagminne oklejanie sufitów walcowatymi kłozkami, by zmniejszyć przestrzeń, choć ludzie coraz częściej potrzebują i będą potrzebowali poczucia przestronności i architektki, właściwie swoje powołanie rozumieją, będą raczej dbać o to, by w pomieszczeniach wywoływać wrażenie, iż są większe niż w rzeczywistości, na co przecież od dawna istnieją sposoby.

Oczywiście, korzystając z pogody, idziemy nad Dunaj. Wynurzamy się z uliczek i zaułków (niektóre spletał arkadami) starej Bratysławy, by ujrzyć piękne, wyasfaltowane, bulwarowe nadbrzeże, ławeczki z emerytami i Dunaj. Po raz pierwszy widziałem go w 1957 roku. Wracając z Wiednia, dojrzałem z okna wagonu najpierw kanał, potem w świetle listopadowego, bezbarwnego dnia sam Dunaj, spokojny w niskich brzegach, ciemny i nieefektywny, nie przypominający walców z przymiotnikiem „modry” w warstwie słownej. Tutaj jest jaśniejszy, jakby dostojniejszy, ale to zapewne zasługa innego miesiąca, innej pory dnia, innego światła.

Po raz pierwszy w życiu — niewiele bowiem podróżowałem — widzę wspaniały wiszący most kablowy, dwupoziomowy, gdyż na drugim brzegu jest także trochę Bratysławy, również z przemysłowymi kominami.

Nareszcie okazja do podziwiania urody współczesnej konstrukcji oddanej do użytku w 1972 roku. Jednak słyszałem wypowiedzi sarkastyczne, pochodzące z ust ludzi zakochanych w mieście. Chodzi o lokalizację mostu. Rzeczywiście, wybiega jak gdyby ze starego miasta. Spód wzgórze, na którym rozsiadł się olbrzymi, zabytkowy, ale zmierzwiłowany nieco — gotycki zamek wawrony, niemal u stóp tego zamku wznosi się ku niebu kopuła o złotych wypustkach, uwieńczona koroną Marii Teresy austriackiej, katedry pod wezwaniem św. Marcina, również gotyckiej, obecnie remontowanej, stojącej na czele zabytkowych budowli i kamieniczek.

Przyznam się, że nie umiałem podzielić tego sarkazmu. Nie wydało mi się to wszystkim kontrastowym przeciwstawieniem, czymś rażącym. No, ale byłem przelotnym przybyszem. W dodatku, nie wiem przecież, co wyburzono na starówce bratysławskiej.

Niespokojnie lazę cały dzień, aby przynajmniej zdobyć jakies, tym razem ogólne, wrażenie, uświadomić sobie obraz miasta — ruchliwego, ale w pewnych dzielnicach dostojnego, także wiele budującego. Jest jedynie czas na obejrzenie, znajdujących się w odległości jakichś dziesięciu kilometrów, ruin zamku Devin — wysoko na skale ciemniejących; wielkiego amfiteatru dla widowisk, gdzie spotyka się Morawa z Dunajem.

Związek Pisarzy Słowackich — przynajmniej na razie — liczy więcej członków, niż ZP Czeskich. Elegancki pan Zabkay cieszy się, iż zdołał ulokować mnie w superlucyusowym hotelu „Kyjev”, wszędzie bowiem trudno o miejsca: choć to październik, przecież tyle turystów, różnymi mówiącymi językami, ja zaś nie byłem wcześniej przewidzianym gościem.

Istotnie, widok z okien na zamek piękny.

Hotel jest nowy, może piętnastopiętrowy, o ścianach nie do końca wyłożonych okładziną, olbrzymie litery neonowej nazwy jeszcze nie pulsują światłem. Jedno mnie dziwi w tych luksusowych hotelach: niezwykła ilość szaf w ścianach na ubrania. Żeby jako tako zagospodarować tę przestrzeń, przewidzianą dla strojów, trzeba byłoby mieć ze sobą co najmniej dziesięć pokaznych waliz. Czy tacy turyści — bowiem wysoko urodzeni lub wielce zamożni nie zajmują przecie jednego pokoju — otóż czy tacy turyści, w dodatku

NAD DUNAJEM



Fot. Archiwum

podróżując samolotami, jeszcze się zdarzają?

Co mnie najbardziej zaskoczyło w hotelu „Kyjev”? Niesłychana cisza, nieobecność ludzi na korytarzach, jak gdyby nikt tu nie mieszkał. Winda, rzecz jasna, bezszelestna. I to jest wspaniałe.

Pan Feliks Uváček — tłumacz, redaktor w wydawnictwie pisarzy słowackich — oprowadza mnie po Bratysławie. Gościnni gospodarze proponują mi, bym na rachunek Związku nakupował sobie wydawnictwo słowackie. Wielka pokusa, zwłaszcza, gdy się jest w olbrzymiej księgarni, ale tym razem działają także wszystkie hamulce: samolot, świadomość, że z Okęcia trzeba dojechać do Warszawy Wschodniej, stamtąd do Łodzi Fabrycznej, a potem jakos do mieszkania. Więc tylko: nestor poetów Laco Novomeský (tomik: Stamtądiala iné), który zawiera wśród innych wstrząsające wiersze z więzienia, poeta w nim przebywał w okresie tzw. kultu jednostki), Milan Rúfus, Miroslav Válek i pięknie wydany, w płótnie i folii Julian Przyboš: „Sestra v plaměnoch”.

Pan Felix jest dobrze zorientowany w literaturze polskiej, prowadzi przecież dział przekładów, pyta mnie o najnowsze nasze pozycje beletrystyczne. Niestety, w ostatnich latach beletrystyki czytam raczej niewiele, wymieniam m. in. apokryf Henryka Panasa, pisarza olsztyńskiego, doskonale napisaną opowieść „Według Judasza”, „Konopielkę” Edwarda Redlińskiego z Białegostoku. (Literacka polska „provincia” jest mniej dotrzymywana, a przecież coraz częściej wypowiada się w sposób zwracający na siebie uwagę. Chyba jeszcze bogatszymi głosami przemawia prowincja poetycka, jeśli nawet nie brać pod uwagę Krakowa, bo to przecież z wieku stolic!) Owszem, pan Felix zna „Konopielkę”, podobnie jak i Kazimierza Brandysa „Wariacje poctowe”, ale język, język tych opowieści?! Jakże znaleźć odpowiednik?!

W tym miejscu nawiedza mnie refleksja: ta wdzięczna „Konopielka” tyle na łamach prasy literackiej wywołała wrzawy, choć nie taki to znowu rarytas. Czy więc chude latka w literaturze naszej, czy zastarzała choroba krytyków: traktowanie wydawnictwa literackiego wyrywkiem, bez gospodarskiego oglądu całości, upodobanie w pocmokiowaniu i przemielaniu, afektacja. W końcu przecież czytam to i ówo, rozmawiam z kolegami, przeglądam recenzje, zaglądam do książek z powieściami i opowiadaniem (bardzo mi się podobał tomik

znakomitego prozaika, Kornela Filipowicza „Śmierć mojego antagonisty”) — nabieram tedy przekonania, że to drugie. Ach, na pewno to drugie! Przypominam sobie, że wokół świetnej powieści Andrzeja Kuśnierzy „Strefy” (Warszawa 1971) mniej było wrzawy, niż wokół — inna rzecz, że to dziewczyna — „Konopielki”.

Przeciętny poziom typograficzny praskich i bratysławskich wydawnictw książkowych (przede wszystkim tych pierwszych) jest tradycyjnie wysoki.

Kogóż ujrzałem, gdy tylko przystanąłem przed jedną z witryn księgarskich? Chłopca, ale o twarzy serdecznie znajomej. W legionowej maciejówce, ze stalowo-szarym legionowym orzełkiem. To obwolufa dużego tomu, zawierającego wiersze Władysława Broniewskiego, który wspólnie z dwoma wujami mojej żony przedostał się z Płocka do Legionów. Owi młodzicy wujowie nie wrócili, więc i oni zostali w wierszu Poety:

„Dowiedziałem się o czym milczy czarny Styr i zielony Stochód... Gryzą ziemię moi najmilsi, nawalali się dosyć prochu...”

Jan Pilar jest w naszych kręgach literackich człowiekiem nie od dziś znanym. Wkrótce po wojnie wydał antologię polskiej poezji wojennej, w której i piszący te słowa miał zaszczyt się znaleźć. Poeta i prozaik, tłumaczy nie tylko z polskiego, jest wicedyrektorem wydawnictwa pisarzy czeskiego. To „główny ambasador” naszej poezji wśród czeskich czytelników. Spularyzował Kochanowskiego, Tuwima, Staffa, Broniewskiego, Norwida...

Rzecz jasna, tam także zastanawiał się człowiek nad kwestiami poetyckimi tłumaczenia, nad sprawami ekwiwalentnymi różnych elementów poetyckich tekstów. Każdy bowiem tłumacz ma swoją teorię przekładu. Mniejsza o szczegóły. Stykając się z językiem czeskim i słowackim, jeszcze bardziej uprzytomniłem sobie, jak na niedoświadczonych lub mniej uważnych tłumaczy z języków słowiańskich czyhała na przykład homonimia; podobne lub identyczne brzmienie, inne znaczenie. Jest na ten temat nawet wiele anegdot.

Okazuje się, że tak zaśluzony tłumacz poezji narodów słowiańskich, K. A. Jaworski (popularny KAJ) miał w liczne stosunkowo wpadki. Właśnie przeczytałem analityczny fe-

leton w listopadowej „Twórczości”. Dla przykładu: słowackie zvliekat sa to rozbierec, u tłumacza zaś dziewczyny zwlekają; czeskie cerstvý — po polsku właśnie że świeży!

Żeby oswoić się choć trochę z językami, przywożłem piękny, albumowy tom Norwida (Jan Pilar) z wkładką w postaci płyt, które Iy-skiwka czerń zawiera recytację „Fortepianu Szopena”. W oryginale:

Lecz TY? — lecz ja? — uderzmy w sędne pienie, Nawołując: „Ciesz się późny wnuku!...”

Jęki — głuche kamienie: Ideal — sygnał bruku! —

W przekładzie: „Snad ty? — ci já? — edermie vztékli do strun: „Pozdni vnuku se tes!...” Hlučné kameny — jęky: Ideal k dlažbe se snes! —

Także słowacki tom Juliana Przybosa w wytwornej szacie edytorskiej (tłumacz: Paweł Horoza) konfrontuje z oryginałami. Z „Grobu njeznaneho żołnierza”:

„Przerażonym sercem przypadłego do śmierci, jak do szturmu, poderwał cię wzbuch! — Kolego, prometejski uczniaku z Rzeszowa...”

I w przekładzie:

„A teba, pritisnutého so zdesením srdcom k obrowskej zemi, zrazil vzbuch do smrti jak predmým do útoku! — Druh moj, prometejský žiakik z Rzeszowa!...”

Jak to dobrze, że otrzymaliśmy po paru oddzielnych tomikach „Antologię poezji czeskiej i słowackiej XX wieku”, opracowaną przez krakowskiego poe, Adama Włodka, wydana dość okazale przez „Słask” w Katowicach!

Więc jeszcze tylko o nakładach, co też może nasunąć pewne refleksje na temat czytania poezji. Antologia Włodka ukazała się w nakładzie 3.281 egz. Norwid Pilarza w nakładzie 11.500 egz. Przyboš Horova w nakładzie 4.000 egz.

W ostatecznym rozrachunku jesteśmy jeszcze mocno zadłużeni, zwłaszcza wobec poezji słowackiej!

JAN HUSZCZA

„OPERACJA - BAKU”

Dalszy ciąg ze str. 3

styczniu 1941 r. premier Churchill zaproponował rządowi tureckiemu utworzenie na terytorium Turcji angielskich baz lotniczych, z których brytyjskie bombowce „mogłyby zaatakować pola naftowe w Baku”. Wskazywał przy tym, że „większa część rosyjskiej gospodarki jest uzależniona od zaopatrzenia z tych ropośnych pól, zniszczenie których doprowadzi w konsekwencji do „wyglądzenia” znacznych obszarów kraju”.

W niedługim już czasie miało się okazać, iż tego rodzaju plany i twierdzenia mogłyby poważnie skompromitować Wielką Brytanię w oczach ZSRR — nowego sojusznika we wspólnym froncie antyfaszystowskim, więc nie ma się specjalnie czemu dziwić, że przy rekonstruowaniu fak-

tów „kaukaskiej operacji” profesor Kahle stwierdził pewne istotne braki w angielskich archiwach, odnośnie tego problemu, gdyż niektóre szczegóły zostały w nich po prostu „dyskretnie” usunięte.

Na koniec warto nieco uwagi poświęcić motywom działania Francji i Wielkiej Brytanii. Jest to istotne o tyle, że w zasadzie w żadnym opracowaniu poruszającym to zagadnienie, w tym także w książce Güntera Kahle, nie widać wyraźnego celu planowanych operacji, tak skandynawskiej jak i kaukaskiej. Pewnym uświadomieniem tego może być fakt, że cele tych planów były oczywiście niejasne bowiem motywacja w rodzaju kruczaty antykomunistycznej, czy odciecia Niemiec od dostaw radzieckiej ropy, choć były

to czynniki niewątpliwie ważne, nie wydaje się być wystarczającą przekonywającą. Otóż przy całej rażącej bezsensowności alianckich projektów zaatakowania ZSRR wydaje się, że ich myślą przewodnią, a zarazem głównym motywem, było za wszelką cenę, odwrócić uwagę Niemców od planowanej ofensywy na Zachodzie i skierować ją na Wschód. Widać to zresztą dość wyraźnie w wytycznym gen. Gamelina z 10.3.1940 r. gdy stwierdza:

„Z wojskowego punktu widzenia akcja na Bałkanach jest nadal znacznie korzystniejsza niż w Skandynawii, można bowiem uzyskać rozszerzenie na dużą skalę teatru działań wojennych. Jugosławia, Rumunia, Grecja i Turcja stanowią dla nas wzmocnienie około 100 dywizji. Szwecja i Norwegia mogą nam natomiast stworzyć słabe poparcie ok. 10 dywizji. W ten sposób siła i liczebność wojsk jakie Niemcy będą musieli ściągnąć z frontu zachodniego przeciw naszym nowym posunięciom będzie niewątpliwie tego samego rzędu”.

Tylko tym można bowiem tłumaczyć utrzymanie w mocy „Poludnio-

wego planu” wobec fiaska koncepcji „operacji skandynawskiej”. Tak jak tonący chwytą się nawet słomki, tak Francja i Anglia w obliczu zbliżającego się niebezpieczeństwa próbowały za wszelką cenę wynieść cało głowy z opresji, której zresztą bezpośrednio przyczyną była ich monarchijska polityka. Poza tym traktowały one ZSRR z taką samą, o ile nie większą jeszcze, wrogością niż Niemcy hitlerowskie. Liczono także na konserwatywną opozycję antyhitlewską, która mogłaby wyeliminować Hitlera i zawrzeć pokój z Zachodem, czyniąc zarazem Niemcy trwałym ogniem koalicji antykomunistycznej. Dlatego też popychając je przeciw ZSRR chcieli upiec na jednym ogniu dwie pieczenie, z jednej strony odsunąć grożące im z Rzeszy bezpośrednie niebezpieczeństwo, z drugiej zaś — poważnie osłabić, o ile nie zniszczyć — Związek Radziecki. Były to jednak koncepcje pozbawione jakiegokolwiek poczucia rzeczywistości.

ANDRZEJ BLAJER

Dalszy ciąg ze str. 1

Jakaś prywatka u koleżanki lub kolegi. Nowi znajomi. Jeden, drugi szeptał do ucha... Spróbuj. Zobaczysz, jakie to fajne. Jaki ten zafajdany świat wyda ci się piękny. A potem jest już ich. Ginie indywidualność, własne „ja”.

Jest grupa, którą rządzi jedno zwierzęce prawo — zdobyć pożywienie, „naćpać” się do syta. Nieważna jest cena, nieważne drogi prowadzące do zaspokojenia żądzy. Cel uświęca środki. Ci, którzy tego nie rozumieją, są godni pogardy i jeżeli trzeba, wariaci unicestwienia.

— Jacek — pada pytanie — dlaczego włamał się do apteki?

— Potrzebowaliśmy narkotyków.

— Ale przecież to jest przestępstwo, zwykła kradzież.

— Panie, czy pan nie rozumie, że nam potrzebne były narkotyki. Mówił już raz.

— To znaczy, że w twoim pojęciu, włamanie do apteki jest czymś zupełnie normalnym i nie powinno być potępione?

— Panie — dodaje zniecierpliwiony i znużony bezsensowną dyskusją — nam potrzebne były narkotyki, nie mieliśmy już co „ćpać”.

— Krzysztof, powiedz nam, dlaczego przerwał naukę? Wiemy, że w szkole średniej byłeś bardzo dobrym uczniem.

— Proszę pana, pan tego nigdy nie zrozumie. Nauki i tego nie da się pogodzić. Ja nie miałem siły i czasu kontynuować nauki. To było silniejsze od wszystkiego. Myślałem tylko, jak się „naćpać”, jak zdobyć narkotyki. „Starzy” mieli dużo pieniędzy. Nawet nie wiedzieli, że im podkradają forsy. Ale „szakale” (czytaj: sprzedawcy narkotyków) żądali coraz więcej pieniędzy. Musiało się wydać. Kilka awantur w domu i o-

puściłem „chatę”. Nie umiałem ze „starymi” znaleźć wspólnego języka.

ICH MONOPOL NA SZCZĘŚCIE

Na korytarzu oddziału mamy okazję zapoznać się jeszcze z „próbkami” ich oryginalnej twórczości, z tekstami wierszy i prozy, wiszącymi na tablicy ogłoszeń.

Czegóż tam nie ma. Nie ma przede wszystkim elementarnego szacunku dla pięknej ojczystej mowy, nie ma odrobiny logiki. Jest natomiast belkot, chorobliwa, narkomańska wyobraźnia — ukazywania intymnej sfery ludzkiego życia w sposób brutalny, siegający dna brzydoty. Miłość to dla nich wyłącznie łóżko. Narkotyki i seks. Seks i narkotyki to jest ich świat. To ideały, które wyznają. Poza tym wszystko inne jest nieważne. Oni mają wyłączny monopol na szczęście. Tylko, że życie oszukuje się nie da i jakże często w sposób tragiczny zadaje kłam tym „wielkim” i „jedynym” prawdom.

SKUTKI

„W Nowej Soli, podczas narkotycznego seansu, w którym brało udział 8 osób, w wieku 17—22 lat, zmarła 19-letnia Alieja N.”

„W Szubinie zmarła wskutek nadużycia środków odurzających 18-letnia uczennica liceum.”

„W Poznaniu 18-letni uczeń technikum zmarł na ulicy po zażyciu dużej dawki środków toksycznych. Również w Poznaniu młody chłopak po zaaplikowaniu, w towarzystwie dwóch kolegów, dawki narkotyku stracił przytomność; koledy zostawili go w mieszkaniu i dopiero po kilku godzinach zawiadomili milicję.

Zgon nastąpił zanim przybył funkcjonariusze MO.”

15-letnia Jolanta, ponad rok narkotyzująca się i uprawiająca „zbiorową miłość”, całkowicie wyniszczona psychicznie i fizycznie, po kilku próbach samobójczych trafiła na wydział odwykowy dla narkomanów.”

„Para licealistów, postanawiając popełnić wspólnie samobójstwo, zażyła dużą dawkę środków odurzających; tylko dziewczynę zdołano odratować.”

„W województwie rzeszowskim Teresa G. zagarnęła z kasy sklepu, którego była kierowniczką, około 700.000 złotych, by móc kupić narkotyki.”

Zbigniew Thille w referencji „Toksykomania — ze szczególnym uwzględnieniem tego zjawiska w środowisku polskiej młodzieży”, analizując cielesne następstwa dłuższego używania środków odurzających stwierdza: „(...) że niemal stałym objawem jest wychudzenie, wyniszczenie i ogólny spadek fizycznych sił toksykomana”.

„Zaburzenia ze strony narządów wewnętrznych polegają na uszkodzeniu wątroby i kłębków nerkowych. Dodatkowymi komplikacjami są skutki niesterylnych iniekcji, mogących doprowadzić nie tylko do zmian i ropni w ok. wstrzyknięcia, ale i do zakrzepowego zapalenia żył (...), sepsy, czy żółtaczki”.

Przeróżające w swej wymowie są wyniki badań lekarzy nowojorskich, którzy stwierdzili, że ponad połowa dzieci narkomanek umiera wkrótce po urodzeniu. Pozostałe przy życiu są od momentu urodzenia nalogowymi narkomanami, cierpiącymi na głód narkotyczny”. Natomiast u mężczyzn — narkomanów obserwuje się zjawisko ginekomastii (nadmierny rozwój gruczołów piersiowych (sutków)).

W Nowym Jorku główną przyczyną zgonów młodych ludzi w wieku 15—35 lat, są narkotyki. Tylko w I półroczu 1972 r. w Los Angeles, na skutek ich zażywania zmarło 596 osób. Niemniej groźne są społeczne następstwa narkomanii.

Zbigniew Thille we wspomnianym już wyżej referencji stwierdza, że u toksykomanów obserwuje się ze szczególną ostrością spustoszenia „(...) w dziedzinie uczuciowości wyższej, wyrażające się postawą aspołeczną (...), zanikiem hamulec etycznych, bezwstydem, kłamliwością, zanikiem wszelkich aspiracji i dążeń życiowych (...) U osobników tych zanikają też stopniowo uczucia rodzinne, przywiązanie do innych ludzi”.

Liczne i alarmujące doniesienia z różnych europejskich i pozaeuropejskich krajów w całej rozciągłości potwierdzają tę opinię.

Oto we Francji „młodociani narkomani w poszukiwaniu środków na zakup narkotyków, zaczepiają na ulicach ludzi, dziewczęta oddają się prostytucji”.

Na Łazurowym Wybrzeżu „spotyka się osoby nieprzytomne, oszołomione narkotykami, leżące na ulicy”.

W Szwecji 75 proc. wszystkich przestępstw-włamań i kradzieży — popełniają młodociani, a znaczny ich odsetek zdobyte pieniądze przeznaczają na zakup narkotyków.

W Stanach Zjednoczonych „ponad 50 proc. wszystkich przestępstw kryminalnych i drogowych ma związek z nalogowym zażywaniem narkotyków”.

DOŚĆ NIESZCZĘŚCI

Kierując się głęboką troską o prawidłowy rozwój młodego pokolenia i pragnąc uchronić je przed tą straszliwą zarazą i trucizną państwa i rządu całego świata podejmują na szeroko zakrojonej skali cały szereg skutecznych przedsięwzięć. I tak np. w marcu 1971 r. ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH wydzieliła na cele walki z narkomanią specjalny fundusz.

Art. 161 polskiego kodeksu karnego stwierdza:

„Kto nie będąc do tego uprawniony, udzieli innej osobie środka odurzającego, albo nakłania do zażywania takiego środka, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5”.

Ustawa z 8.I.1951 r., w art. 30 przewiduje „karę do jednego roku pozbawienia wolności i grzywny lub jedną z tych kar za używanie środka odurzającego w towarzystwie innej osoby, bez zalecenia lekarza”.

We Francji powołano organ do zwalczania narkotyków. Znacznie ostrzeżono kary za ich sprzedaż.

W Japonii handel narkotykami karany jest dożywotnim więzieniem.

Ustawodawstwo irańskie przewiduje za to przestępstwo karę śmierci. Od 1971 r. wykonano tam 125 wyroków śmierci.

W roku 1970 prezydent Stanów Zjednoczonych, R. Nixon, żądał dla handlarzy narkotyków kary śmierci.

W Szwecji, na ulicach miast, białe afisze z czarnymi krzyżami, na których widnieją imiona i nazwiska, wiek oraz data śmierci — ostrzegają młodzież i rodziców przed tą trucizną.

Jest w tych czarnych krzyżach coś z symbolu i okrutnej rzeczywistości. To memento dla młodych ludzi, którzy zdecydowali się pójść drogą „falszywych proroków”, drogą śmierci. Śmierci biologicznej lub społecznej. Tej ostatniej tym tragiczniejszej, że powolnej, w kręgu społecznego marginesu, otoczonego pogardą narodów.

W artykule wykorzystano opracowanie p. mgr. Anny Klimowicz z Zespołu Organizacyjnego Zakładu Higieny Psychiczej w Łodzi — „Narkotyki i narkomanie. Synteza informacji prasowej za I półrocze 1973 r.”

TADEUSZ MICHALSKI

Fot. Archiwum

ICH ŚWIAT



POLEMIKI

„PROFESOR NA DRODZE”

Tak się złożyło, że film „Profesor na drodze” oglądałem dwa razy. Chciałem przede wszystkim zapoznać się z wątkiem fabularnym, tem scenograficznym i — last not least — ideologią ekranizowanej powieści Henryka Czarneckiego, której nie zdążyłem jeszcze przeczytać. Następnie, jako były długoletni aktor, poddałem analizie dzieło reżysera i grę dość hezgowego zespołu. Przyznaję, że ocena moja wypadła ze wszech miar pozytywnie.

Potem przeczytałem w numerze świątecznym „Odgłosów” recenzję pana Tadeusza Szczepańskiego i byłem szczerze zdumiony, że nie zawiera ona ani jednego słowa uznania, a tylko same minusy. Co gorsza: wyczułem w niej jak gdyby chęć zlekceważenia autorów, oscylującą w zakrojeniu między nic

nie mówiącym „ni to, ni owo” a nonszalanekim życzeniem „Wesołych Świąt”. Recenzent musiał wprawdzie stwierdzić, że film zawiera szereg „zdarzeń pomysłanych bardzo plastycznie w swoim życiowym prawdopodobieństwie”, ale dodał natychmiast, że patronujący temu utworowi mały realizm jest „tanim przepisem na sztukę” — a więc i ten jedyny pozytywny fakt pozostaje filmowi raczej za wadę.

A recenzent zdawał sobie chyba sprawę, że scenariusz „Profesora na drodze” przeszedł przez gęste sito. Najpierw w zespole filmowym, potem w komisji scenariuszowej, wreszcie sam film poddany był ogniowej próbie tak zwanej kolaudacji — czyżby wszyscy się mylili w jego ocenie?

Nagroda przyznana twórcom filmu

nie była też „jednostkowym” gestem ministra, lecz wynikiem opinii jego współpracowników. Czyżby i oni byli laikami w dziedzinie sztuki filmowej?

Moim skromnym zdaniem, sztuka odpowiedziana, jak w tym wypadku, przez samo życie daleka jest od zdawkowej publicystyki. A omawiany film dotyczy bezspornie milionów ludzi, którzy albo się uczą, albo uczą, albo będą się jeszcze uczyć. Bohaterem jego jest bohater z biuro, pewna specyficzna społeczność — o jakie więc „psychologizowanie” może tu chodzić? Należy raczej pochwalić autorów, że pokazali ludzi normalnych, bez kompleksów, ludzi borykających się z normalnymi trudnościami, a także postać normalnego profesora, który dotychczas przedstawiany był na ekranie (w większości znanych mi filmów) albo jako niedołęga życiowy, albo człowiek uwikłany w nietypowe konflikty, albo — wręcz negatywnie.

Pan Szczepański twierdzi, że wartości ideologiczne nie powinny być trywializowane. A mnie się wydaje, że właśnie recenzent uprasza wiele hasło „Polska krajem ludzi kształcących się”, utrzymując w sposób apodyktyczny, iż

systemem nauki wieczorowej i zaocznej staramy się dogonić oświatowe zaniechania, a jest to ciągle „wyrównywanie opóźnień”.

Nie odrzucam uwag recenzenta na temat odrabiania jakichś zaniechań przeszłości, którym nie ma potrzeby się chwalić. O jakim tu zaoferowaniu mowa? Przecież nie obowiązywała dotąd i nie obowiązuje nadal powszechność średniego wykształcenia. Bohaterowie filmu ukończyli szkoły podstawowe, zdobyli zawód i pracę, z własnej woli uczą się w technikum wieczorowym — właśnie, żeby coś więcej jeszcze osiągnąć. A jest faktem bezspornym, że pokazanie ludzi ambitnych, chcących coś w życiu osiągnąć, mobilizuje innych. Świadczy o tym liczne listy, które jak słyszeliśmy z ust spikerki, otrzymał odpowiedni dział Telewizji Polskiej. Poza tym, film był wyświetlany pięć razy, co w domenie szklanego ekranu należy przecież do rzadkości. A recenzent nazwa doś beztroško utworów łódzkich realizatorów „filmową publicystyką o letniej temperaturze”...

Dalszy ciąg na str. 7



Fot. G. Kalisjak

CO TO BĘDĄ TARGI ESTRADOWE?

Podczas przerwy w niedawno odbytej imprezie estradowo-telewizyjnej pt. „Dobry wieczór, tu Łódź”, spotkaliśmy w hallu Teatru Wielkiego dyrektora Stowarzyszenia Muzyki Estradowej, mgr. Andrzeja Józwiaka.

— Od pewnego czasu mnożą się w Polsce przeróżne festiwale oraz konkursy piosenki i muzyki rozrywkowej. Ostatnio SME wysunęło ciekawą inicjatywę organizowania w Łodzi, począwszy od przyszłego roku, Polskich Targów Estradowych. Czy nie należałoby jednak obawiać się w związku z tym, że przybyłaby nam jeszcze jedna impreza, będąca powieleniem roli już istniejących festiwali i konkursów z ich dobrze znanymi wadami?

— Już na wstępie nie mogę zgodzić się z panem. Jesteśmy przekonani, że proponowana impreza, która nie byłaby przecież przedsięwzięciem jednorazowym, miałaby poważne znaczenie kulturalne. Stworzyłaby ona możliwość nawiązania współpracy pomiędzy wszystkimi wojewódzkimi agencjami imprez artystycznych, wszystkimi stowarzyszeniami kulturalnymi oraz innymi organizacjami i instytucjami, prowadzącymi działalność artystyczną. Powstałoby korzystne warunki do wzajemnej wymiany doświadczeń nie tylko artystycznych, ale i natury ekonomicznej.

— Kto brałby w nich udział?

— Na Polskich Targach Estradowych winny być prezentowane te programy i te zespoły poszczególnych agencji wojewódzkich, które kierownictwa agencji uważają za najbardziej reprezentatywne i warte pokazania.

— Czy oznacza to, panie dyrektorze, że PTE byłoby przeznaczone do prezentacji wyłącznie programów o uznanym już wartości i wykonawców o ustalonej renomie?

— Proszę się nie obawiać, nie zapomnimy o debiutach, bądź o interesujących artystycznie wykonawcach, którzy pozostają jeszcze w mroku.

— Wydaje się, że nowoczesny sposób organizacji rozrywki oprócz rozbudowy zaplecza oraz wzrostu gospodarczej efektywności i rentowności winien także uwzględniać możliwość konfrontacji artystycznej i ekonomicznej.

— Istotnie! Dlatego na Polskich Targach Estradowych obejrzymy i usłyszymy podstawowy trzon programów, które w sezonie 1974/75 będą prezentowane na krajowych estradach.

Przedstawicielom agencji estradowych chcemy zapewnić możliwość spotkań impresaryjnych i zawierania kontraktów oraz porad konsultacyjnych i korzystania z obsługi technicznej.

— A inne cele tej imprezy?

— Podstawowym celem jest dążenie do podniesienia poziomu polskiej muzyki i piosenki rozrywkowej, opieka nad talentami, konsekwentne inwestowanie w program i artystę, zespolenie środków finansowych oraz wypracowanie wspólnego, długofalowego programu działania w oparciu o nowoczesne metody. Są to cele na miarę naszych możliwości oraz ambicji polskiego przemysłu muzyczno-estradowego.

— Czy imprezy Targów obejrzą telewizyjni widzowie?

— Zapewniliśmy już współudział Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Cały program Targów będzie rejestrowany na taśmie do późniejszego odtwarzania przy najróżniejszych okazjach. Reżyserami imprezy będą Janusz Rzeszewski i Jerzy Woźniak. Kierownictwo artystyczne sprawować będą ja wraz z drugą osobą do ustalenia, na konsultanta programowo-literackiego zaprosiliśmy Ryszarda Czubarzyńskiego, a na konsultantów muzycznych — Czesława Majewskiego i Bogumila Bednarka. Kierownikiem biura organizacyjnego będzie Leszek Piasecki.

— Czy przewiduje się także imprezy towarzyszące?

— Oczywiście. Będą to m. in.: wystawa polskiego plakatu estradowego, konferencje prasowe dla dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu, narady problemowe, dotyczące dalszego rozwoju artystycznego, organizacyjnego i ekonomicznego polskiego przemysłu rozrywkowego.

Rozmawiał:

ZBIGNIEW WÓJCIKIEWICZ



Fot. W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

— to pomaga, na jakiś czas. Niech pan czyta.
List był długi, wynotowałem więc tylko najważniejsze fragmenty.
„Miałem swoje własne gospodarstwo. Teraz, kiedy się ożeniłem, zostawiłem mamę z siostrą i poszedłem do teściów, bo skarżyli się, że oni są starzy i nie mają komu dać gospodarstwa — a u nas to siostra wy-

działe za mąż i będzie dobrze. Mieszkałem niecały rok, a już musimy z żoną wędrować do mojej mamy. Wyszukowałem sobie mieszkanie i poszedłem do pracy na państwową robotę. Pracowałem 9 lat i było nam nieźle. Ale teściom i tak pomagaliśmy, bo przecież nie daliśmy rady w gospodarstwie. Gospodarstwo doszło do upadku, budynki zaczęły się rozlatywać, no i znów zaczęli nas prosić, żebyśmy przyjechali, wzięli na swoją głowę gospodarstwo i rządzi-

Zgodziliśmy się na przyjęcie, ale trzeba budować z miejsca budynek inwentarski. Pracowałem w budownictwie, to wystarałem się o plan budowy, pokupowałem tregry, narobiłem pustaków, sprowadziłem szlakę, trochę starej cegły, drzewa — z pracy się zwolniłem i zacząłem budować. Wzięliśmy pożyczkę i pobudowałem budynek 20 m długości, 9 m szerokości. Włożyłem w sumie swojego wkładu do 40 tysięcy złotych, prócz robocizny przez 2 lata.

Teraz zapanowała niezgoda. Dobrze by było, żebyśmy to wszystko zostawili i poszli sobie z żoną i dziećmi w świat. Przyszedłem za gospodarza, a tak wychodziło, że byłem parobkiem, bo teść chciał pieniądze brać, a zięć żeby pracował. I dlatego zapanowała niezgoda. Gospodarstwo o powierzchni 8 ha rozdzielone zostało po połowie. Jak w takiej sytuacji podnieść wzrost pogłowia bydła czy trzody chlewnej, jak się stale mówi przez radio? W dodatku straszają, że nas wypędzą i ja nie wiem czy pracować w tym gospodarstwie, czy w inny sposób ułożyć sobie życie. Przecież teść ma 76 lat i jest człowiekiem niezdolnym do pracy. Teściowa zaś liczy 56 lat i właśnie ona to wszystko błędnie prowadzi”.

— Takich rzeczy niedługo nie będzie — skomentował, kiedy skończyłem notować. W zeszłym roku wyszła ustawa i zaczęto regulować te sprawy. Niedługo przyjdzie kolej i na naszą wieś. Wtedy będę gospodarzem pełną gębą. Jeszcze i o mnie napiszą w gazecie.

Mojego rozmówcy nie spotkałem więcej. Zapomniałem nazwiska i wioski, z której pochodził. Nie zapomniałem jednak tego o czym mówił. Mnie z kolei dawało to spokoju. Przeglądałem pilnie prasę, szukałem w niej potwierdzenia nadziei, opty-

wa, w tym sensie, iż reguluje sytuację mającą miejsce do 4 listopada 1971 roku, przyczynia się do zaniku klasycznego konfliktu w sferze władania na wsi. Z jednej bowiem strony likwiduje obawę i lęk starszych przed zbyt wczesnym przekazaniem gospodarstwa, by ich sytuacja materialna automatycznie się nie pogorszyła, z drugiej — przeciwdziała niechęci ludzi, którzy bardzo często do okresu znacznie już przekraczającego wiek młodości siedzą kątem u rodziców czekając na moment gdy ci nie będą mieli już na tyle sił i werwy by prowadzić gospodarstwo i przekazać je.

Ustawa jasno określa sytuację — ustalając obowiązki przejmującego w zakresie utrzymania rodziców i dając młodym stabilizację prawną oraz pełnię decyzji w prowadzeniu gospodarstwa. Formalna umowa jaka zostaje spisana pozwala także w przypadku niesubordynacji którejś ze stron, na stosowanie skutecznych sankcji administracyjnych.

Rodzice — to tylko jedna strona medalu. Pozostaje jeszcze sprawa spłat rodzeństwa. Niebagatelna. Bo niejednokrotnie suma, do których rości sobie ono prawa, przekracza aktualną wartość gospodarstwa. Nie było na to rady. Nie było siły, by przeciwstawić się tradycji, choćby nawet w sposób najbardziej jaskrawy godziła ona w interes tego, który zdecydował się na gospodarstwo pozostając.

— W tym przypadku ustawa jednoznacznie rozwiązuje problem — kontynuuje mgr Cz. Starostecki. — Wylizowane są bowiem przypadki, kiedy osoby nie pozostające na gospodarstwie mogą uzyskać z niego jakieś korzyści. Chodzi tu o zahamowanie drenażu finansowego i kapitałowego rolnictwa. Przez wprowadzenie rygorystycznych i gospodarczo uzasadnionych ograniczeń wreszcie doprowadzono do sytuacji, w której młody rolnik otrzymuje schedę nie obciążoną różnego rodzaju długami. Poza oczywiście

kanasce lat, świeżo upieczony gospodarz nie był w stanie inwestować, rozwijać nowych kierunków pracy, gromadził bowiem kapitał na spłaty, by móc kiedyś samodzielnie zdecydować. Ustawa likwiduje ten stan w sposób nie budzący wątpliwości. O rzeka bowiem, że spłata w sensie pieniężnym w zasadzie nie istnieje.

No więc dobrze jest — pomyślałem sobie. I w myślach już układał mi się kształt artykułu, o tym jak to młodzi naprawdę zaczynają gospodarzyć i jak w tym dzielnie pomaga im — ich organizacja — Związek Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej. Bo nie wyobrażałem sobie, by te zasadnicze przemiany na wsi odbywały się mogły bez jej udziału.

Wystarczył jednak jeden telefon, by kubek zimnej wody ostudził moje zapala. Krótko, zwięźle i z należytym szacunkiem poinformowano mnie, że owszem takie sprawy istotnie mają miejsce, że organizacja jest o nich należycie poinformowana. Ma nawet spis gospodarstw, których regulacja spraw własnościowych dotyczy. Ale na tym koniec. Wszystko pozostałe jest już w gestii odpowiednich wydziałów Urzędu Wojewódzkiego.

Jezu Miłosierny — jęknąłem. Jak to? Chwila dziejowa, historia na zakręcie, a naszych tam nie ma? Młody dostaje do ręki szansę, o jakiej jego poprzednicy marzyli latami — a kumple nic? Ani dobrego słowa, kiedy miota się targany sprzecznościami, jak tu pogodzić wbiłany przez lata posłuch dla decyzji, choćby najbardziej niesprawiedliwej — rodziców z interesem gospodarstwa?

Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe.

Po raz drugi przemierzałem korytarze Urzędu Wojewódzkiego by zasiąść w fotelu u magistra Czesława

KONFLIKTY

mizmu! zapala młodego gospodarza. Nie znalazłem wiele. Zasięgnąłem więc języka u źródeł oficjalnych.

Trafilem nieźle. Magister CZESŁAW STAROSTECKI z Urzędu Wojewódzkiego okazał się człowiekiem młodym i czułym na sprawy jego rówieśników. Jest prawnikiem i podczas swej aplikanckiej praktyki wielokrotnie stykał się ze sprawami ziemskimi, jak to się szumnie określa. Teraz z urzędu dba, by ustawa regulująca sprawy własnościowe była realizowana należycie.

— Tego rodzaju regulacja prawna — wyjaśnia — chociaż jednorazo-

długami państwowymi, które nigdy się przecież nie umarzają i nie przedawniają bez orzeczenia organów administracyjnych.

Jest to bardzo istotne, bo dotychczasowy znaczny odpływ siły roboczej, często kwalifikowanej, mającej ukończone szkoły rolnicze — spowodowane były właśnie niechęcią do toczenia sporów sądowych, nieraz dotagrawnych ze swoimi współspadkobiercami. Jeśli nawet do tego nie dochodziło to owe spłaty rodzeństwa powodowały, że kilka a nawet kil-

Starosteckiego. Nie był zdziwiony.

— Wiedziałem, że pan wróci — powiedział. — Chciałem panu za pierwszym razem powiedzieć jeszcze kilka słów, ale wyleciał pan jak oparzony.

Jak oparzony... Leciłem jak na skrzydłach. Każdy by to zrobił na moim miejscu, jakby mu się taka gratka trafiła. Uderzyłem się więc mocno w piersi. Przepraszam za niecierpliwość i zamieniłem się w słuch.

— Trzeba może by tu wrócić do formalnej i technicznej strony stosowania tej ustawy — mówił Cz. Sta-

MAZEW - RAZ JESZCZE

Dalszy ciąg ze str. 2

ciętność? Jak dobrze poszukać, to się znajdują. Choćby taki: **Zdzisław Bartnicki**, młody, gospodarujący nowoczesnie rolnik, który kończy pracę połowę, kiedy inni są dopiero w połowie. Bardzo mi się również podoba **Jerzy Otto**. Ten 34-letni mężczyzna z dyplomem młodego rolnika przejął 13-hektarowe gospodarstwo po ojcu. Budynki są w oplakany stanie, ale Jerzy Otto bierze się z rozmachem do pracy, w czym pomaga mu żona Maria. Młode małżeństwo posiada już plan, część materiałów i niebawem rozpocznie budowę nowoczesnej obory. Jerzy Otto dba o laki, sieje trawy i rozwija hodowlę bydła, obecnie ma w oborze 13 sztuk. Jest przewodniczącym kółka ZSMW, sekretarzem w OSP oraz kuratorem społecznym w Sądzie Powiatowym w Łęczycy. Praca społeczna zabiera mu sporo czasu, ale świetnie sobie radzi w gospodarstwie, gdyż wykorzystuje do prac polowych własny ciągnik wraz z zestawem maszyn rolniczych. W Mazewie jednym z ładniejszych

budynków jest Ośrodek Zdrowia wraz z apteką. Nikt mi nie przedstawił dokumentów, ale faktem jest, że jakkolwiek latami, został on zbudowany w czynie społecznym, przy czym wykorzystano tu znaczne nakłady z dawnego SFBSI.

Doktor **Witold Sądzewicz**, wyjaśnia, że jest to Gminny Ośrodek Zdrowia, gdyż Daszyna takowego nie posiada. Obecnie Ośrodek ulega modernizacji i jako jedyny w powiecie będzie posiadać centralne ogrzewanie, a na pewno jako jedyny w województwie — radiofonizację. Założy się nowe tynki, zbuduje 3 garaże, w tym jeden z przeznaczeniem na pralnie; lepsze też będzie połączenie telefoniczne, gdyż Mazew otrzymał automatyczną centralę.

Rozmawiałem także z doktorem **Stanisławem Rybackim**. Stwierdził on, że większość mieszkańców Mazewa nie jest obojętna na sprawy inwestycji w swojej wsi. Mimo dość nieprzyjemnej atmosfery znaleźli się np. ludzie tacy, jak: **Firaza, Błaszczuk, Florczyk, Komorowski**, nauczycielka **Wozniakówna**, którzy podczas czynu partyjnego pracowali przy naprawie drogi.

Jeśli idzie o budowę domu dla Służby Zdrowia, to według nowych założeń dwa mieszkania zajmą lekarze, cztery zaś nauczyciele. Robota nie idzie zbyt sprawnie, gdyż odczuwa się brak materiałów, a w komitecie budowy pracuje w zasadzie dwóch ludzi. W sprawie podwiezienia szlaki na budowę dr Rybacki był dwa razy w bazie, w końcu przywieziono tę szlakę, ale za późno i teraz trzeba ją odwozić. Małe zgrzyty i antagonizmy jeszcze pokutują wśród ludzi, trudno np. zorganizować zebranie koła ZSL, ale powoli wszystko wraca do normy i ogólnie rzecz biorąc — lekarze wierzają w pomoc społeczeństwa.

Poinformowano mnie również, że zdarzały się wypadki niszczenia Ośrodka Zdrowia, ale nikt nie ma na przeciwko organizowaniu zabaw, były tylko ich przebieg był odpowiednio zabezpieczony przez stróżę porządku publicznego. Zresztą w br. Ośrodek zostanie ogrodzony i kłopoty się skończą.

Młodzież z Mazewa, na którą tak wszyscy liczą, w gruncie rzeczy nie ma się gdzie zbierać, aby przejmować i pożytecznie spędzać wolny czas. Ale ja przecież podkreślałem, że lubię mazewiaków za ich ambicję, za tę chęć wyróżnienia się spośród innych wsi. I nie omyliłem się. OSP w Mazewie w ub. roku miała rozpocząć budowę nowej remizy strażackiej. Niestety, trafili na przeszkodę. Ale sprawa chyba ruszy z miejsca, gdyż zapewniono mnie w powiecie,

że jeśli tylko wieś zgromadzi odpowiednią ilość materiałów oraz wypracuje społecznie należną ilość godzin, władze sfinansują w połowie tę inwestycję.

Teraz będzie o tym, co powinienem napisać od siebie. O tym, co było, nie było i nie jest. A więc szkoła stoi na gruncie, który nie został ofiarowany przez księdza, lecz wymieniony między księdzem i wsią. Kościół się nie przewozi do Daszyny, gdyż jest to zbyt kosztowna impreza i nie w duchu nowych czasów; nikt nikogo nie zatrzymuje w drodze do punktu skupu, bo po co? Na naczelnika Filipczaka anonimowo nie wpływają i nie dzwonią telefony z pogroźkami. Bardzo dobrze, bo człowiek był Bogu ducha winien, albowiem podczas pierwszej bytności w Daszynie Filipczaka nie zastałem w Urzędzie i nie mogłem z niego wyciągnąć informacji.

Dalej: radna **Luczakowa** przestała płakać, skończyły się stukania do okien, obywatela szanują się, a na szczególne wyróżnienie zasługuje **Zygmunt Pilarski**, który jako jeden z pierwszych wypełnił swój obywatelski obowiązek i podczas wyborów złożył głos na listę FJN. Pilarski uporał się też z kłopotami w gospodarstwie, umorzono mu niewielkie zaległości i już teraz, w środku zimy, przygotowuje się do podjęcia wiosennych prac w polu.

Nie ma już w Mazewie żadnej silnej grupy, bo się wykruszyła; knajpy w Daszynie też nie ma, co jest jeszcze jednym dowodem, że nie

należy podsłuchiwać facetów na łańce, gdyż plotą od rzeczy. A skoro już mowa o gastronomii, to uważam, że GS w Daszynie winna mocniej stukać do drzwi powiatowych, a być może „zostanie im otworzone” i da się uruchomić w starym dworcu w miejscowości Upale cygańską karczmę. Byłby niezły profit dla GS, gdyż taka folklorystyczna restauracja przy trasie E-16, może nawet z cygańską kapelą, to prawdziwa zyla złota. A tak na marginesie, to chciałbym zwrócić uwagę GS, by na czas dostarczała chleb, do Mazewa, bo ludzie się skarżą.

Oświadczam też, że wertując księgi metrykalne i ewidencyjne, nie znalazłem w nich nazwiska **Buła**. Człowiek o nazwisku **Buła** nie mieszka w Mazewie, po prostu mnie źle poinformowano! Gdyby jednak ktoś poczuł się osobiście dotknięty danymi, zawartymi w moim poprzednim raporcie, to serdecznie, gorąco go przepraszam.

I to by było tyle wyjaśnień, poza tym wszystko się zgadza. Ale restauracja w Daszynie na pewno by się przydała, jak bowiem wskazuje tradycja, nie tak nie łączy. Jak „wspólnie rodaków rozmowy”. Wierzę jednak, że pojednanie jest tuż, tuż, nawet bez restauracji. Zaraz, jak to ja napisałem? „I ci, i tamci tu się będą rodzic, umierać, zenic”. W tym nieco sennym, zamglonym krajobrazie łagodnych pagórków...” Zgadza się.

RYSZARD BINKOWSKI

raścieckie — Znaczny procent gospodarstw rolnych w województwie wymaga uregulowania stanu prawnego. By wykonać to zadanie nie można siedzieć za biurkiem i ograniczać się do faktów zawartych w dokumentach, w wielu wypadkach ich brak. Trzeba wyjść w teren i gospodarstwo po gospodarstwie opisywać, analizować, podciągać pod odpowiedni przepis. Nie może to być praca powierzona, automatyczna. Decydujemy przecież o nadaniu praw bądź nie uwzględnieniu roszczeń, ważnym losy podstawowej dla rolnika rzeczy, jaką jest jego warsztat pracy — gospodarstwo rolne.

Na tym tle nie można ustrzec się i od konfliktów. Istnieje tendencja wykorzystywania zaistniałej sytuacji dla celów prywatnych, sprzecznych z interesem ogólnospołecznym czy interesami poszczególnych rolników. Często sprawy te prowadzą do formalnego podziału wsi na obozy opowiadające się za jedną bądź drugą stroną. Z tym trzeba walczyć.

Tu właśnie widzę szczególną rolę organizacji młodzieżowej. W tej chwili jedynym organem społecznym, który nam pomaga jest sołtys. Ale i on ma ręce skrópowane uwikłaniem się w różnego rodzaju mikrokludy rodzinno-towarzystwe istniejące od lat. W przypadku organizacji ten element jest marginesowy. Młodzi znają przecież sytuację niemalże wszystkich gospodarstw, mogą określić, jak tam kształtowały się stosunki rodzinne, stosunki władania, krótko mówiąc — jak kształtowały się te wszystkie elementy stanu faktyczno-prawnego — niezbędne nam do wydania prawidłowej decyzji nadającej własność konkretnej osobie.

Z drugiej strony fakt uczestniczenia w tych pracach organizacji byłby z pewnością czynnikiem mobilizującym gospodarza do podawania informacji zgodnych z prawdą. Przed obcym urzędnikiem łatwiej jest przecieć kręcić, wprowadzić go w błąd. Swojego nie kiwniesz, bo rzecz można natychmiast skonfrontować. W tej mierze prestiż ma ogromne znaczenie.

Niestety, do tej pory ZSMW nie kwapi się do przyjęcia z pomocą. Aż dziw bierze. Chodzi przecież o tempo tych prac, by młodzi mogli nareszcie zająć się gospodarowaniem w sposób zgodny z wymogami współczesnego rolnictwa.

I to byłoby właściwie wszystko. Chciałem wprawdzie opowiedzieć o czymś zupełnie innym. Ale nie wyszło. Nie z mojej winy. Mógłbym w tym miejscu rozpocząć wielce umoralniającą gadkę, bić pięścią w pulpit, grzmieć — jednym słowem wypić się jak przystało na walczącego publicystę. Okazja przecież znakomita. Ale należą do ludzi spokojnych. Kolegom z Zarządu Wojewódzkiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej podaję więc tylko dokładny adres i telefon:

Magister Czesław Starostecki, Urząd Wojewódzki w Łodzi, ulica Ogrodowa, trzecie piętro, pokój 317, telefon 584-00, wewnętrzny 551.

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ

„PROFESOR NA DRODZE”

Dalszy ciąg ze str. 5

Nie zgadzam się również z propozycją autora recenzji odnośnie filmu dokumentalnego. Toż byłoby to dopiero prawdziwa dydaktyka czyli „czytanka” wyprana z wszelkiego uśmiechu i wrzucenia „czytanka” do ziewania, nie pozostawiająca po sobie śladu.

Zreła chybiona jest także druga propozycja pana Szczepańskiego, albowiem wybranie jednego wątku, jednej wiodącej postaci w godzinny filmie spowodowałoby z natury rzeczy jego zubożenie i pominięcie całego szeregu problemów i obrazów przykuwających uwagę telewidza.

Na koniec należało zamieścić co najmniej wzmiankę o społecznej użyteczności filmu, o precyzyjnej robocie reżysera, a zarazem współtwórcy scenariusza Zbigniewa Chmielewskiego, który bądź co bądź ekranizować musiał dość nietypową powieść, jak również o nienaganniej grze prawie wszystkich aktorów, a w pierwszym rzędzie Józefa Nalberczaka, Józefa Nowaka i Bogusława Sochnackiego.

HORACY SAFRIN

FELIKS BĄBOL

MIASTECZKO W LESIE

Były dwa hejnalny. Między nimi: żaknada, przegląd szkolnych zespołów artystycznych, ognisko harcerskie, zawody sportowe i strażackie, gawędy o przeszłości. Między tymi hejnalami zmieścił się cały program „Dni” miasteczka, leżącego niecałe 20 km od Łodzi, starszego jednak od niej o siedem lat. Tuszyń narodził się pod Krakowem — w Wiślicy — w 1416 r., a Łódź — w Przedborzu w 1423 r. W tych to obrosłych legendą i historią czasach nadano prawa miejskie Tuszyńowi i Łodzi. Twórcą miejskiej kariery obu miast był ten sam król Władysław Jagiełło, jakże jednak inaczej obszedł się los z jednym i drugim.

Przy ul. Piotrkowskiej 4 mieści się siedziba Miejskiej Rady Narodowej Tuszyń. Z tyłu budynku powstałego 45 lat temu wznosi się jeszcze do dziś wieża z galerijką dla strażników miejskich. Bronili miasteczka, ostrzegali przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, ale nie byli w stanie uchronić ratusza w 1945 r. Wtedy to Niemcy podpalił budynek, a ogień strawił okupacyjne ślady ich działalności.

Tu, w tym ratuszu stosunkowo szybko można dowiedzieć się o przeszłości i dniu dzisiejszym miasteczka. Encyklopedią wiedzy jest sekretarz MRN — Czesław Zaborowski. Od

gubił syna w czasie polowania w tuszyńskich lasach, jak potem jeden z rycerzy odnalazł królewicza i jak o tym radośnie meldował królowi: „Królu, tu syn! Jak z tego powstała nazwa Tuszyń — Tuszyń. Te legendy, niosą całe pokolenia pokoleniom przyszłym, aby ubarwić codzienność. „Dni” zapatrzone są w przeszłość, bo tak chyba dzieje się wszędzie, we wszystkich tych małych miasteczkach i osadach, którym brak siły, by mogły nadać za rozwojem dużych skupisk miejskich, takich jak Łódź, czy choćby Piotrków i Pabianice. Bo dzień dzisiejszy w nich jeszcze nie potrafi porwać ludzi, stworzyć emocji towarzyszących wiazu u siebie człowieka z przyszłością miasta, w którym żyje. Wykrzesano w Tuszyńie wiele ludzkich zapału — choćby przy budowie stadionu, gdzie „dniówki” złożyły się prawie na milion złotych, przy budowie ośrodka wypoczynku świątecznego na tzw. Młynku łączącym północny skraj Tuszyńa z szosą do Łodzi. Sam przewodniczący MRN — Józef Zdyb, który moźoli się nad sprawami miasteczka już od lat 50-tych może być wzorem dla innych ojców miast. Gdy ludzie budują ulicę, stanowią przy nich, porządkują, kontrolują, choć wydawałoby się, że budowa ulicy to tylko sprawa samych drogowców. Żyje miastem, stara się być wszędzie ta gdzie się cokolwiek dzieje.

Ale przecież nie dzieje się tu wielkie rzeczy. One są doniosłe jedynie na

16 sierpnia 1416 r. w Wiślicy Władysław Jagiełło nadał rycerzowi Dobkowskiemu z Ław prawo lokacyjne dla miasta Tuszyńa — obok wsi Tuszyń. W 1463 r. zjechała tu z całym dworem Kazimierz Jagiełłończyk serdecznie witany przez pierwszego woja miasta, Sędziszę.

szeregu lat pełni tę funkcję, dojeżdżając dzień w dzień z Guzowa pod Rzgowem. Nie przenosi się do Tuszyńa, bo tu nie ma mieszkań.

— Właśnie sprawy mieszkaniowe boją mnie najbardziej — mówi. — Ludzie miesiącami chodzą do referatu gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, a my jesteśmy bezradni. Nie ma u nas budownictwa ani kwaterunkowe, ani spółdzielczego, bo jak je rozwijać, gdy miasto nie jest uzbrojone, nie posiada — i tu sekretarz użył modnego określenia — infrastruktury technicznej, kanalizacji ani wodociągów. I niech pan tylko zwróci uwagę na fakt, — aż 70 proc. mieszkańców Tuszyńa czeka na inny lepszy dach nad głową.

Byłem zaskoczony tymi procentami. Już po chwili zorientowałem się, że 70 proc. to problem 4 tysięcy mieszkańców. W Łodzi dla pełnej likwidacji problemu mieszkaniowego trzeba obecnie 60 tys. mieszkań, tutaj — około 1200. Tuszyń jest pod względem zaludnienia 100 razy mniejszy (7.700 mieszkańców), ale

W 1596 r. powstaje w Tuszyńie pierwsza szkoła parafialna. W 1635 r. dzieła zniszczenia dokonują tu najazdy szwedzkie — z pożaru ocalało tylko 40 budynków. W drugiej połowie 19 wieku miasteczko liczy dopiero 1860 dusz.

miarę miasteczka — wszystkie te sprawy spędzając, jak się to mówi, sen z oczu ojców miasta.

UCIEKINIERYZ

A więc sprawy. Najpierw sprawa młodych ludzi uciekających z Tuszyńa do Łodzi, Pabianic i Piotrkowa, bo nie widzą tu dla siebie perspektyw. Ucieczki spowodowały, że jeszcze sześć lat temu było w Tuszyńie 8,5 tys. mieszkańców, a dziś prawie tysiąc mniej. Zresztą, może ta ilość ludności (8,5 tys.) była zjawiskiem wyjątkowym i nienaturalnym? Do 1966 roku istniała w Tuszyńie swoboda meldowania się, więc obywatelami Tuszyńa stawali się z konieczności nawet ci ludzie, którzy pracowali w Łodzi, ale nie mogli się w niej zameldować, bo Łódź była miastem „zamkniętym”. Po 1966 r. wielu z nich, jako fachowcy, nabyło prawa obywatelskie w Łodzi, zwiększył więc statystyki łódzkie, ale zubożył tuszyńskie.

Sprawa kobiet. Prawie 500 czeka tu na pracę. Ojcowie miasta robią co mogą, aby je zatrudnić, ale znów nie mogą za wiele. W br. na przykład uruchomiono szwalnię w składnicy harcerskiej i tu zaczęło się 60 kobiet, wkrótce ma powstać możliwość zatrudnienia w tejże zakładnicy około 100 chalupeczek. Ale kwestia dalszych kilkuset miejsc pracy dla kobiet nadal pozostanie.

Tuszyńem... handlowano. Jan Ojbrach, potrzebujący pieniędzy na wyprawę wołoską, zastawił Tuszyń Anktowi z Pniewa, który w zamian dostarczył królowi pewnych sum na wojnę. Odtąd co parę lat Tuszyń zmieniała właścicieli. W XVI wieku stała się kolejno własnością Łukasza z Górki — kasztelana poznańskiego, Mikolajka a następnie Tomasza z Lubrańca. Jana Gruszyńskiego — kasztelana łowickiego, Stanisława Tarnowskiego — starosty sieradzkiego.

już z tych porównań wynika, że w miasteczku problem dachu nad głową jest co najmniej dwa razy ostrzejszy niż w Łodzi.

CO DWA LATA

Tuszyń co dwa lata obchodzi swe święto, swoje „Dni”, ale co z tego? „Dni” zapatrzone są w przeszłość, sycą tuszyńiaków romantyką legendy — jak to Władysław Jagiełło za-



Fot. Archiwum

Kłopoty z ożenkiem. Aż 50 pańien w wieku 20—24 lat czeka daremnie na męża. Odpowiadający tej grupie wieku mężczyźni pracują poza Tu-

na z wymarzonych i najbardziej przydatnych pod względem zdrowotnym podmiejskich okolic. Sądzę, że Tuszyń zrobiłby większą karierę niż Kolumna i Wiśniowa Góra. Potrzebny jest jednak jasno sprezywany program wczasowego i wypoczynkowego zagospodarowania miasteczka — pod tym progiem podpis liby się wszyscy łodzianie. Łódź daje obecnie pracę i chleb około 2 tysiącom tuszyńiaków — w zamyśle co najmniej na początek — mógłby tu powstać rekreacyjny azył choćby dla 20 tys. włókniarzy i ich rodzin. Na pomysł takiego wykorzystywania lasów tuszyńskich wpadły już niektóre łódzkie zakłady i instytucje. Warto by go teraz upowszechnić szerzej.

NAUCZYCIELKA

Portret miasteczka nie byłby kompletny, gdyby nie powiedzied kilku słów o magister Edwardzie Szeflińskiej. Otacza ją tu miłość i szacunek. Te uczucia zaczynają się już od młodzieży tutejszego liceum dla pracujących, którego jest dyrektorem. Liceum utworzone z jej inicjatywy, stało się jednym z obiektów szkolnictwa średniego w Tuszyńie. Chwała ją jako pedagoga i organizatora — obecnie chce powołać do życia szkołę samochodową, bo widzi takie możliwości w związku z budową zakładów transportowych i usług drogowych. Pani magister jest żywym przykładem tradycji rodowych w zawodzie nauczycielskim — jej ojciec był kierownikiem szkoły, jej matka — nauczycielką. Jest to, zdaje się, przykład osobliwy jeszcze z innego powodu. Myślenie o przyszłości Tuszyńa, pasja przeobrażeń w życiu tuszyńiaków godzi się w niej z kul-

Tuszyń zapisał się w historii wydarzeń związanych z powstaniem narodowym. W 1866 r. znalazł się na liście miast — Królestwa Polskiego dotkniętych cholera, wkrótce potem wchodzi do... literatury. Oto w 1868 r. przeprowadziła się do Tuszyńa ze wsi Kobieli Wielkie, rodzina Reymontów, która mieszkała tu 15 lat. Sciągnęła tu na wyrazie zaproszenie ówczesnego proboszcza Szymona Kupczyńskiego — brata matki Władysława Reymonta, który swagrowi powierzył funkcję organisty tuszyńskiego. W 1875 r. Reymont uczęszczał do tuszyńskiej szkoły, a pobył w Tuszyńie wywarł niewątpliwie wpływ na młodego Reymonta, zwłaszcza tuszyńskie jarmarki, które następnie opisał w „Chłopach”, nazywając Tuszyń Tymowem.

szynem, nabywają stażu w fabrykach łódzkich i piotrkowskich. Tam pracują i tam się żenią. Zresztą — we wszystkich grupach wieku ludności tuszyńskiej — kobiet jest znacznie więcej. Wyjątek stanowi grupa najmłodszych obywateli — tutaj tylko są one w mniejszości.

LAS

Przejdźmy od tych spraw wybranych z tuszyńskiego życia i trapiących ojców miasta do szerszej panoramy problemów. Gdy spojrzysz w okres międzywojennego dwudziestolecia, najbardziej frapująca wydaje się ówczesna koncepcja rozwoju Tuszyńa, opracowana przez inż. Andrzeja Kortasińskiego. Była to koncepcja miasta — lasu. Lasy tu zdrowe, mieszane i suche. Idealnie przystosowane są do budownictwa rekreacyjno-wczasowego. Jest przecież w pobliżu i dopływ Pilicy (Wolbórka), jest nawet — i to od przed wojny — propaganda tego typu zabudowy: sanatorium w tuszyńskim lesie, obecnie nazwane szpitalem wojewódzkim. Więc może i teraz — po blisko 50 latach — wrócić do idei inż. Kortasińskiego? Władze miasteczka tego i owego fachowca chcą zatrzymać w Tuszyńie oferując w „wieczyste posiadanie” bardzo ładne działki pod budowę domków jednorodzinnych, taka działka kosztuje 200 zł rocznie, ale w przyszłości Tuszyńa powinno się chyba wejść z szerszą inicjatywą urbanistyczną.

Aż się prosi, by właśnie tutaj w perspektywie najbliższych lat skierować znaczną część fali wyjazdów turystyczno-rekreacyjnych z przegrywanej Łodzi. Dla łodzian uwędzonych w pyle i dzień w dzień preparowanych chemicznie — jest to jed-

W drugiej połowie 19 w. Tuszyń staje się miastem rzemieślników i pracowników usług. Reprezentują oni najprzeróżniejsze zawody — od olejarzy, garbarzy i cyrulików aż do kotlarzy, wytwórców sukna tzw. ordynaryjnego i służby domowej. Rzemięsło przyczynia się do szybkiego rozwoju miasteczka — jest tu już 198 domów i 170 zagrod rolniczych. Ten rozkwit jednak nastąpił tuż przed... upadkiem Tuszyńa. Oto w 1870 r. na liście miast zdegradowanych przez władze carskie do roli osad i wsi znalazł się również Tuszyń.

tem dla przeszłości miasteczka. To ona właśnie wypełnia ten punkt programu „Dni Tuszyńa”, który brzmi: gawędy. Przy ognisku wskrzesza podziw 51a historii miasteczka powstałego 557 lat temu, a w swej codziennej pracy pedagoga i społecznika — rozbudza energię dla tych dni Tuszyńa, które dopiero nadchodzą.

WINDA

Mój przyjaciel Teodor uwielbia windy. Jazda windą sprawia go w takie upojenie, że mógłby jeździć w górę i w dół bez końca. Jednakże Teodor obawia się zdradzić ze swoją słabostką i dlatego nieczęsto urządza dłuższe przejażdżki w bloku, w którym mieszka i w którym prawie wszyscy lokatorzy go znają. Jeśli już czuje nieodpartą potrzebę zakosztowania tej przyjemności, udaje się do innych wieżowców i tam, nierozpoznany przez nikogo oddaje się swej namiętności. Nie też dziwnego, że Teodor raduje się niezmiernie na widok każdego nowego wieżowca, bo widzi w nim pole swoich przyszłych działań. Sam też mieszka na dziesiątym piętrze, co ma tę zaletę, iż pozwala mu odbywać długie podróże i korzystać z obu wind w obu klatkach schodowych.

Mimo, że znam Teodora od dzieciństwa, ta strona jego życia była mi od niedawna zupełnie obca. Dopiero kilka dni temu cała rzecz wyszła na jaw zupełnie przypadkowo. Spotkałem go na ulicy bardzo przygnębionego, więc zabrałem go do swego mieszkania, gdzie po trzecim kielszku zdecydował się zrzucić ciężar z piersi i zwierzyć mi się ze wszystkiego.

Okolo dwa tygodnie temu pewna bliska znajoma Teodora wyjechała na trzy tygodnie na wczasy. Przed wyjazdem poprosiła mego przyjaciela, abym od czasu do czasu zaszedł do jej mieszkania, sprawdził, czy wszystko w porządku, odebrał pocztę i podał kwiaty. Teodor zgodził się ochotczo, pomimo, że jego znajoma mieszka tylko na trzecim piętrze. Zaraz pierwszego dnia, udał się tam pojechać na dziesiąte piętro windą w drugiej klatce schodowej, przeszedł górą do właściwej klatki i zjechał na dół na piętro trzecie. Kwiaty były podlane, pocztę nie było, więc po jakimś czasie Teodor opuścił mieszkanie znajomej również przez dziesiąte piętro. Wizyty te powtarzał codziennie.

Ostatniej soboty, jak zwykle, udał się do mieszkania znajomej, lecz oglądając telewizję, zasiadł tak tak długo, że postanowił nie wracać do domu. Przewrócił sobie pościel i udał się do łazienki, aby się wykąpać, gdy wtem przyszła mu gwałtowna ochota na przejażdżkę windą. Ponieważ nie chciał mu się ubierać, a była już prawie północ i nie sądził, aby go ktokolwiek zobaczył — postanowił wyjść w szlafroku. Puścił wodę do wanny małym strumieniem i wyszedł.

Najpierw pojechał na dziesiąte piętro, potem na sam dół, potem znowu na górę. Stąd postanowił jeszcze raz pojechać na parter i zająć do skrzynki na listy. Skrzynka była pusta, a ponieważ była blisko drzwi wejściowych Teodor otworzył je, aby zobaczyć jaka na dworze jest pogoda. Pogoda była paskudna: mżył deszcz i wiał zimny jesienny wiatr, jednakże mój przyjaciel pod wpływem impulsu wybiegł na dwór i pobiegł do drzwi drugiej klatki schodowej, postanowił bowiem wracać dłuższą drogą, przez dziesiąte piętro. Drzwi do tej klatki były jednak zamknięte. Teodor już chciał wracać tam, skąd przyszedł, gdy zobaczył jakiegoś spóźnionego przechodnia. Nie chcąc być widziany w szlafroku (damskim!), skrył się we wnęce obok drzwi.

Po chwili usłyszał skrzypnięcie drzwi w swojej klatce schodowej i postanowił odczekać chwilę, aby tego kogoś nie spotkać w drodze powrotnej, gdy nagle przyszła mu do głowy myśl, która wprawiła go w przerażenie. Pędem podbiegł do drzwi swojej klatki schodowej. Szarpnął. Zamknięte!

— Halo, proszę pana! Proszę otworzyć, Halo!

Odpowiedziała mu cisza. Teodor zaczął stukać coraz głośniejszą i coraz głośniejszą wotać, lecz — ponieważ nikt nie otwierał — więc dał spokój. Mój przyjaciel jest z natury nieśmiały i nie odważył się hałasować o tej porze przed nie swoim domem i w nie swoim szlafroku.

— Nigdzie nie było widać światła — opowiadał mój przyjaciel — okna od zapy i klatki schodowej były na głucho zamknięte. Żadnej szansy na wejście do środka.

Po dziesięciu minutach miałem dość czekania i zadzwoniłem na dozorcę. Musiałem dzwonić kilka razy zanim usłyszałem kroki i zaspasany głos:

— Kto tam?

Nigdy nie wiem, jak odpowiedzieć na takie pytanie — zwierzał mi się dalej mój przyjaciel. — Nie mogłem się zdobyć na to, aby się przedstawić, gdyż drzwi były zamknięte, więc odzkiem głupio:

— Pan mnie nie zna. To ja. Drzwi się jednak otworzyły i zobaczyłem w nich barczystą postać gospodarza domu, który zwięźle wyraził swoje zdziwienie i dezaprobatę.

— Czego chcesz? — zapytał. Z wrażenia zacząłem się plątać w wyjaśnieniach tym bardziej, że chciałem szybko wszystko wytłumaczyć. W odpowiedzi usłyszałem:

Zjeżdżaj stąd, gnojku i nie budź spokojnych ludzi po nocy. I zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Byłem tym tak zaszokowany, że odebrało mi w pierwszej chwili mowę. Potem zacząłem walić w drzwi i wołać:

— Ależ proszę pana, proszę mi otworzyć. Ja muszę się tu dostać. Nie mogę przecież stać na dworze całą noc w szlafroku. Niech się pan zlituje!

Po tym apelu dozorca otworzył drzwi i gdy mu zacząłem dziękować, odepchnął mnie, aż się zatoczyłem. Jednocześnie zaczął do mnie mówić, lecz nie będę cytował tego, co powiedział. — Tu mój przyjaciel westchnął ciężko. — A mówił chyba z pięć minut. Gdy znowu zostałem sam, byłem tak zziębnięty, że było mi wszystko jedno. Podszedłem do drugiej klatki i zapukałem w okno na parterze.

Po chwili ukazała się w oknie głowa jakiejś, jak mi się zdawało, bardzo wyleknionej kobiety. Zaczęła dawać znaki, że chce wejść i żeby mi otworzyła drzwi wejściowe. Trwało to jakiś czas, lecz wreszcie kobieta nabrała widocznie zaufania i kiwnęła mi, że rozumiem i otworzy.

Niedługo potem usłyszałem dźwięk odsuwanej zasuwki. Otworzyła mi kobieta w wieku nieco przejrzałym, lecz zadbaną, w różowym szlafrocuku i o długich, jakby świeżo wyszczotkowanych włosach.

Idąc za kobietą po schodach recytowałem swoją litanię wyjaśniającą mój stan i położenie, gęsto przeplataną wylewnymi podziękowaniami. Gdy doszliśmy do uchylonych drzwi jej mieszkania, przerwała mi:

— Nie ma o czym mówić. Lepiej, żeby się pan napił czegoś gorącego, bo się pan rozchoruje.

Mówiąc to, jakby od niechcenia, położyła mi rękę na ramieniu, a drugą oplekniecznie wsunęła pod mój szlafrok i zaczęła gładzić mnie po piersiach i brzuchu, nie przestając przy tym mówić.

— Boże! Ależ pan jest zziębnięty. Chodźmy do mego mieszkania. Zrobie gorącą herbatę z miodem, to się pan rozgrzeje.

Zrobiło mi się nagle gorąco. Będąc w dalszym ciągu przepełniony wdzięcznością, nie chciałem zbyt gwałtownie użegnąć się, aby niechcący nie urazić mojej wybawczyni. Zaczęłem więc wślizgiwać się w wannie, bo bezkarnie zakreślić kran w mieszkaniu, lecz kobieta zdawała się nie słyszeć moich słów: za to ciężko dźwając pociągała mnie ku sobie. W ostatniej dosłownie chwili zdołałem zrobić unik i bakając coś na temat tego, że napiję się herbaty przy innej okazji, dopadłem windy, która na szczęście stała na dole i momentalnie wzniosłem się w górę.

Mówię — wzniosłem się, bo oprócz normalnych wrzusek, które daje mi jazda windą, rozpięła mnie radość, że moje kosztowne kłopoty już się skończyły. Czulem się naprawdę tak, jak musiał się czuć Ikar, gdy jego mocne skrzydła niosły go coraz wyżej i wyżej ku słońcu! Myśl, że zachowałem się niegrzecznie wobec milej starszej kobiety, której na dodatek winienem był wdzięczność, tylko na chwilę zmąciła moją radość. Lekko jak motyl wybiegłem z windy, przemknąłem korytarzem do pierwszej klatki i przywołałem drugą windę, która poniosła mnie w dół.

Teodor znowu przerwał i ponownie westchnął.

— A więc, wszystko dobrze się skończyło — rzekłem, myśląc, że to już finał nocnych przygód mego przyjaciela.

Znowu zamiast odpowiedzi usłyszałem głębokie westchnienie.

— Czy znasz moją teorię na temat wydstawiania się z nieruchomionej windy? — odezwał się wreszcie mój przyjaciel, jak mi się zdawało, bez związku z tematem rozmowy.

Kto nie zna teorii wychodzenia z nieruchomionej windy mego przyjaciela, Teodora! Powtarzał ją wszystkim swoim znajomym aż do znużenia. Według niego zawsze można wydstawić się z windy, niezależnie od miejsca, w którym się ona zatrzyma. W nowych blokach poszczególne piętra oddzielone są tak cienkimi sufity, że zgodnie ze wspomnianą teorią mego przyjaciela, zawsze można wyjść albo górnym,

albo dolnymi drzwiami. Trzeba jedynie wiedzieć, jak otworzyć drzwi szybowe.

— Znam twoją teorię doskonale, lecz nie wiem dlaczego zadajesz to pytanie — rzekłem do mego przyjaciela.

— Bodaj bym nigdy jej nie wymyślił — wybuchnął nagle Teodor. — Kiedy już byłem między czwartym a trzecim piętrem, przyszła mi ochota, aby ją sprawdzić w praktyce. Zanim się zastanowiłem, co robię, już drzwi kabiny były otwarte, a kabina unieruchomiona między piętrami. Zatrzymała się idealnie w połowie drogi między trzecim a czwartym piętrem. Od razu zobaczyłem, że nie będę mógł otworzyć dolnych drzwi, bo zasuwka i kołko dźwigni były poniżej podłogi kabiny, a szczelina między podłogą a drzwiami była tak wąska, że nie zdołałbym przecisnąć przez nią rękę.

Ponieważ wtedy znowu przypomniał mi się otwarty kran w łazience, postanowiłem zrezygnować z otwierania górnych drzwi, zjechać niżej i jak najszybciej dostać się do mieszkania. Zamknąłem więc drzwi kabiny i nacisnąłem przycisk obok cyfry 3. Nic się nie stało. Kabina ani drgnęła. Nacisnąłem więc guziczek na drugie piętro, potem na wszystkie pozostałe po kolei, ale kabina pozostała nieruchoma. Ze też musiała zepsuć się właśnie w takim momencie!

Chcąc nie chcąc musiałem dokończyć eksperymentu. Zjąłem jedną połowę drzwi kabiny i oparłem o ścianę. Przy zdejmowaniu drugiej, niechcący chyba dotknąłem drzwiami żarówkę, bo nagle rozległ się potężny huk, posypało się gorące szkło na głowę i zgasio światło. Mimo tego już po chwili udało mi się wdrapać na skrzyżowanie drzwi, skąd zacząłem sięgać w górę. Tu szczelina była równie wąska, jednakże z trudem, kalecząc naskórek, zdołałem przecisnąć prawą rękę i uchwylić kołko dźwigni. Teraz trzeba było tylko drugą ręką odsunąć zasuwkę.

Nie było to takie proste, gdyż te reki trudniej było przeciskać. Gdy w pewnym momencie silniej popchnąłem rękę, niespodziewanie rozsunęły się obie połowy drzwi, które stanowiły moje oparcie i poleciałem z wielkim hałasem na podłogę kabiny, o mało sobie nie wykręcając unieruchomionej w szczelinie prawej reki. Na szczęście nie nokałczyłem się o szkło z rozbitą żarówką.

Po chwili pozbierałem się i rozpoznałem wszystko od nowa. Spieszyłem się, bo ogarniał mnie coraz większy niepokój.

Po pewnym czasie znowu zdołałem obie ręce wcisnąć w szczelinę między windą a drzwiami szybowymi. Stwierdziłem, że nie mogę dosięgnąć do celu obiema rękami jednocześnie. Nie zrażony tym, kontynuowałem wysiłki, gdy nagle uczułem, że winda jedzie powoli w górę. Wystraszyło mnie to nie na żarty, lecz wnet zrozumiałem o co chodzi, gdyż przez szybę w drzwiach zobaczyłem groźną postać gospodarza domu.

Myślę, że usłyszał hałasy, zobaczył mnie, szamocącego się w windzie, dał komuś klucz do maszynowni i zaczął podciągnąć windę. Sam na mnie czekał na czwartym piętrze. Gdy winda tam się zatrzymała, otworzyliśmy wspólnie drzwi. Gospodarz spojrział na zniszczenie, którego dokonałem i bez słowa, co mnie zdziwiło niepomniernie, wprowadził mnie na schody. Nie mogę powiedzieć, że mnie wyrzucił, ponieważ nadawał mi tylko kierunek, w którym miałem biec niestety... kopiałkami. Biegłem sam szybko i ochotczo, na dole otworzyłem błyskawicznie drzwi wejściowe i znowu znalazłem się na dworze, trzymając się za obolałe pośladki. Za mną szczerknęła zasuwka zamykanych drzwi.

Co miałem robić w takiej sytuacji? Myśl o niezamkniętym kranie wprawiła mnie w stan największego niepokoju. Jak ja przeklinałem własną głupotę! W tym czasie wykapany i zadawolony, kładłbym się właśnie do suchej pościeli, a tak — musiałem tkwić, trzęsąc się z zimna, na dworze podczas jesiennej ulewy. Czy można się dziwić, że znowu poszedłem do drugiej klatki?

Moja znajoma już na mnie czekała.

— Oj, niegrzeczny pan jest i źle wychowany — strofowała mnie, zamykając drzwi wejściowe.

— Jaka ta młodzież teraz jest niewdzięczna — mówiła, trzymając mnie mocno za ramię i prowadząc w kierunku swego mieszkania. Niechcąc okazać się niewdzięcznikiem, a ponadto tym razem kobieta nie dała mi żadnych szans. Znalazłem się w przedpokoju, a moja nowa znajoma zamknęła drzwi na klucz, który demonstracyjnie i z triumfem umieściła w staniu. Zauważyłem, że stanik powodował, że wyglądała, jak gdyby za chwilę miała pobiec do przodu, tak duży był jej biust. Przyciśnięte światło zacierało szczegóły... Ja jednak myślałem o otwartym kranie w łazience i o tym, aby jak najprędzej się stąd wydostać.

Mój przyjaciel znowu zamilkł, a delikatność nie pozwalała mi pytać o "lepsze szczegóły". Uczuliśmy obaj jeszcze chwilę, po czym napelniliśmy kielszki.

— No, nasze kawalerskie — rzekłem.

— Nie uwierzysz mi — oświadczył Teodor, odstawiając kielszek — kie-

dy ci powiem, że ważyłem się na krok desperacki i straszny. Jak wiesz, moje wychowanie każe mi zawsze być uprzejmym i grzecznym wobec dam. Jednakże w owym momencie zachowałem się jak pospolity cham. Myślę jednak, że okoliczności, choć w części, mnie usprawiedliwiają.

Teodor ponownie przerwał opowiadanie i podsunął mi pusty kielszek. Nalałem i wypiliśmy. Teodor spojrział mi w oczy i rzekł:

— W pewnym momencie, gdy moja dwukrotna wybawicielka odwróciła się do mnie i zaczęła przygotowywać herbatę, podszedłem do niej, objąłem ją jedną ręką za szyję, czyli... zrobiłem jej coś, co się chyba nazywa krawatem, po czym drugą ręką wydobylem klucz ze stanika i zostawiwszy oszłomioną kobietą na środku pokoju, otworzyłem drzwi i uciekłem, gubiąc po drodze szlafrok. Nie czekałem na windę, lecz zacząłem wspinać się po schodach, gdyż moja znajoma wyjątkowo szybko przyszła do siebie i ruszyła za mną w pogoni. Wspinanie się po schodach jest rzeczą nieprzyjemną i męczącą, szczególnie dla mnie. Na dodatek ta, zdawałoby się staruszka, deptała mi cały czas po piętach, nie dając mi odpocząć. Jej piękna peruka przekrzywiła się na bok, ukazując lśniąca czaszkę, lecz to jej nie powstrzymało. Zaczęła mnie ogarniać prawdziwa panika i już myślałem, że jej nie umknę, gdy około ósmego piętra postyszałem jakiś loskot. Obejrzałem się i zobaczyłem, że kobieta zatrzymała się. Stała patrząc na mnie i oddychając ciężko. Zauważyłem jej łwne zapadłe policzki...

Po chwili zawróciła i znikła mi z oczu. Zdołałem zauważyć, że coś dyskretnie podniosła ze schodów.

Powlokłem się dalej. Znowu na dziesiąte piętro, korytarzem do pierwszej klatki w dół. Tym razem po schodach. Musiałem zachowywać się

cicho, aby nie zwabić dozorcę, który mógł się gdzieś jeszcze kręcić.

Okazało się, że był w windzie na czwartym piętrze z jakimś drugim typem, lecz na moje szczęście nie zauważyli mnie. Trzeci raz już chyba bym nie wrócił...

Podróż mi na duchu fakt, że nie było kałuży na korytarzu przed moimi drzwiami. Jak się potem okazało, była to zasługa wysokiego i szlachetnego progu.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem po otwarciu drzwi, była ogromna fala, wywołana moim wtargnięciem, która wolno podpełzła do stojącej w korytarzu przedpokoju szafy na wysokości polskiego Ogarnęła mnie rozpaczą. Całe mieszkanie w wodzie. Dziwnie, że sąsiedzi nie przyszli jeszcze z krzykiem. Chyba tylko dlatego, że błogo spali, bo przekonałem się, że nadmiar wody sływał sobie w dół po pionowej rurze w przedpokoju.

Nie będę ci opisywał wszystkich szkód — ciągnął Teodor. — Wstarczę, jeśli powiem, że pracowałem do rana, osuszając mieszkanie. Mieszkanie jest kompletnie zniszczone i nadal się do remontu...

Rano uciekłem chyłkiem i za nie tam nie wróce.

Dozorca na mnie chyba, lokator z drugiego piętra na pewno też szlafrok zostawiłem u uczynnej staruszki, mieszkanie... A i kwiatki też pewnie teraz uschną. Co ja mam biedny zrobić?

Teodor zamilkł i westchnął już nie wiem po raz który. I ja także westchnąłem, bo nie wiedziałem jak przyjacielowi pomóc.

HORACY SAFRIN

FRASZKI

NA PEWNEGO DZIENNIKARZA

*W walce ze spekulacją, na zew czasu czuły,
produkuje masowo tanie artykuły.*

NA PLAGIATORA

*Dawniej popelniał wiersze, poematy,
dziś bardzo zręcznie popelnia plagiaty.
Ostatnio nawet chętnie czytam go,
bo z dwójga złego wolę — mniejsze zło.*

WSPÓLCZESNY NERON

*Chociaż się lira po nocach śni mu,
pisze złe wiersze, nie paląc Rzymu.*

NA GRAFOMANA

*Niekroć twórca bierze w nim górę,
tworzy z papieru makulaturę.*

NAGROBEK PRELEGENTA

*Tu spoczywa prelegent, błądź smem się raczy.
Cóż? Poszedł za przykładem setek swych słuchaczy.*

NAGROBEK WŁASNY

*To kiepski kawał! Prawdę wam odkryję:
Mówią źle o mnie — a więc jeszcze żyję.*



Jeszcze nie tak dawno pisaliśmy o zamordowaniu przez mafię sycylijską generalnego prokuratora Palermo — Scalone. Społeczeństwo włoskie, wstrząśnięte tym wydarzeniem, domagało się wykrzyta winnych zbrodni i położenia wreszcie kresu rozpasaniu sycylijskich gangsterów. Po dwu i pół latach ciszy sprawa zabójstwa prokuratora Scalone powróciła na łamy prasy, zresztą nie tylko włoskiej, a ujawnienie szczegółów tego zabójstwa zasko- wało włoską opinię publiczną, wywołując niesłychany skandal. Tylko, że tym razem... ale nie uprzedzamy wypadków.

Zaledwie Marino de Luca, przewodniczący sądu w Genui, przekroczył próg swego gabinetu w gmachu sądu, podekscytowany sekretarz wprowadził majora Francesco Forleo, dowódcę legii karabinierów w Palermo. Elegancki major trzasnął obcasami i położył na biurku pakiet dokumentów. Zawierał on materiały trzy lata trwającego, ściśle tajnego dochodzenia w sprawie działalności generalnego prokuratora Palermo — F. Scalone, zastrzelonego 5 maja 1971 roku, serią z pistoletu automatycznego na jednej z peryferyjnych ulic stolicy Sycylii.

Sędzia de Luca oczekiwał na ten dokument już od dawna. Zażądał go w czerwcu 1971 roku, w czasie przesłuchań w sprawie o oszczerstwo, którą porucił mu sąd kasacyjny. Właśnie jemu, genueńczykowi, jako osobie stojącej na uboczu wydarzeń na Sycylii. Powodem w procesie była rodzina Scalone, która oskarżyła redaktora naczelnego oraz czterech pracowników lewicowej gazety „Ora” o zamieszczenie na łamach pisma — z odpowiednim komentarzem — rysunku, wyobrażającego zamordowanego prokuratora w otoczeniu znanych wszystkim hersztów mafii...

SYCYLIA

SENSACYJNY ZWROT W SPRAWIE SCALONE

Zaledwie major Forleo opuścił gabinet, de Luca niecierpliwie przelamał pieczęcie, otworzył pakiet i zabrał się do studiowania dokumentu. Obejmował on 55 stron maszynopisu, na których, po raz pierwszy w historii sycylijskiej mafii, wysoki urzędnik sądownictwa wprowadził dopiero po śmierci, został zidentyfikowany jako jeden z „najwybitniejszych” przywódców sycylijskiego syndykatu zbrodni. W sprawozdaniu wymieniono ponad sto nazwisk. Już choćby tylko sam ich rejestr stanowi krótką kronikę krwawych rozpraw mafii na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat w czterech zachodnich prowincjach wyspy, gdzie właściwie powstał i rozwinął się fenomen mafii. Szczególną uwagę zwracają takie „osobistości”, jak Vito Riggio — mąż Marii Scalone, siostry zamordowanego prokuratora, zamieszany w długi łańcuch morderstw: Salvatore Vitale — znany handlarz narkotykami; Frank Coppola — wydany ze Stanów Zjednoczonych za udział w ciemnych sprawach syndykatu gangsterskiego „Cosa Nostra”; Calogero Orlando — ujęty przez FBI w momencie przemycania narkotyków i wydany z USA, a w 1965 roku zamieszany na liście dwudziestu „szczególnie niebezpiecznych przestępców”; Cesare Manzella — zawo-

dowy morderca i herszt mafii w Chinisi (30 km od Palermo), który wiosną 1963 roku wyleciał w powietrze wraz ze swym wspaniałym alfa-romeo, sprzątnięty z polecenia herszta konkurencyjnej bandy — Angelo la Barbera.

„SCHOWEK” PROKURATORA

Ale najgrubszą rybą, która wpadła w sieć przy okazji badania sprawy Scalone — okazał się niejaki Pietro Longo.

Nazwisko to jest objawieniem nawet dla najbardziej doświadczonych ekspertów zbrodniczej działalności mafii. Pozostając zawsze w cieniu, Pietro Longo był tym właśnie człowiekiem, który wprowadził Scalone do środowiska mafii i stał się pozostałym ogniwem wiążącym b. prokuratora z przestępczym światem Sycylii.

Co legło u podstaw tego dziwnego związku nie wiadomo, natomiast z całą pewnością można już dziś powiedzieć, a sprawozdanie karabinierów doręczone sędziemu de Luca nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości, że poczynając od 1933 roku, w miarę, jak Scalone piął się po szczeblach kariery służbowej, sycylijscy mafiosi mogli coraz bardziej liczyć na jego „bezstronność”. W Pałacu Sprawiedliwości w Palermo nie

było człowieka, poczynając od woźnych, a kończąc na sędziach, który by nie wiedział, że wszystko, co tylko dotyczyło mafii: informacje, listy anonimowe, doniesienia służbowe ze szczegółowymi wykazami zbrodni i nazwisk — wszystko to Scalone zamykał w schowku biurka ze słowami: „ale to nudziarze!”

W 1949 roku, zaraz po nominacji na zastępcę prokuratora, Scalone przejął sprawę Salvatore Giuliano, głośnego bandyty, który ostrzelał z broni automatycznej demonstrację pierwszomajową w Portella-della-Ginestra, na przedmieściu Palermo. Scalone potwierdził wówczas bez zastrzeżeń wersję o zastrzeleniu Giuliano przez kapitana karabinierów Antonia Pierenzo podczas wymiany strzałów, aczkolwiek zebrane dowody przemawiały za inną, prawdziwą wersją, że Giuliano został zastrzelony podczas snu przez swego własnego „goryla”, Gaspara Pichotto, który działał na „zamówienie” pewnych wysoko postawionych osobistości w Rzymie. Zresztą sprawa o otruciu Scalone — zmarł w trzy lata później po wypiciu filiżanki kawy ze strychniną w więzieniu w Palermo — także utknęła w bezdennym schowku prokuratora...

W 1963 roku, w rok po awansie Scalone na stanowisko prokuratora Palermo, podprefekt stolicy Sycylii, Tommaso Berilaque, na zlecenie miejscowych władz (Sycylia posiada własny parlament) przesłał władzom sądowym dziesięć kilogramów dokumentów, demaskujących nadużycia spekulatorów ziemią i kombinatorów budowlanych, skandaliczną korupcję, bezprawie i złodziejstwo urzędników władz municypalnych — owoc wieloletniej działalności mafii. Scalone przetrzymał te dokumenty trzy lata, a kiedy wreszcie trzeba było podjąć jakieś decyzje, ograniczył je do postanowienia przed sądem 54 osób, oskarżonych o drobne naruszenie przepisów zabudowy miasta.

SCALONE — CZŁOWIEK MAFII

Ta „bananowa skórka”, na której posiedział się Scalone, była sprawa Luciano Ligio, bandyty o bogatej przeszłości. W 1958 roku, w wieku 33 lat, Ligio został hersztem mafii w

Corleone, usuwając z drogi poprzedniego bossa oraz wyprawiając zgrabnie na tamten świat dalszych 23 konkurentów! W 1964 roku, po 6 latach „bezowocnych poszukiwań” — Ligio ukrywał się w tym czasie niedaleko Palermo w wytwórni win znanego mafioso Giuseppe Bertolino (prokurator Scalone był jego drużbą na ślubie) — „groźnego bandytę aresztowano. Następnie minęło jeszcze sześć lat, a Luciana Ligio, który tymczasem zapadł na gruźlicę kości, przewożony wciąż z jednej prywatnej kliniki do drugiej... Wreszcie odbył się proces: po 47 posiedzeniach, sędziowie miasta Bari, gdzie toczył się proces, uwolnili go od zarzutów mu przestępstw, a w tym także od ośmiu zabójstw!...

Jednakże tym razem wzbudzenie opinii publicznej było tak gwałtowne, że prokuratura w Palermo była zmuszona osadzić go w areszcie w czekaliwaniu na kolejny proces o przynależności do mafii, „jednostki niebezpiecznej”. W rzeczywistości Ligio nie doznał najmniejszych represji. Nie obawiając się nakazu aresztowania, przez długi czas przebywał w szpitalu w Taranto, po czym przewieziono go do arystokratycznej kliniki rzymskiej „Villa Margherita”, gdzie poddał się operacji. W listopadzie 1969 roku Ligio spokojnie zapłacił wszystkie rachunki, rozdał swoje nawiązki i gwizdząc na wszelkie postanowienia sądów i prokuratorów całej Italii zniknął ze szpitala i przepadł jak kamień wrzucony do wody!...

Dopiero dziś wiadomo, że to właśnie prokurator Scalone przygotował ucieczkę bandyty. Przy pomocy niezwykle cienkich wybiegów prawnych, generalny prokurator Palermo wydał tak sprzeczny nakaz aresztowania Ligio, że formalnie był on skuteczny na całym terytorium kraju, ale praktycznie mógł być wykonany wyłącznie w Corleone, miejscu stałego zamieszkania bandyty. A ponieważ Ligio bynajmniej nie kwapił się do powrotu w rodzinne strony, ani policja, ani karabinierzy nie mogli mu przeszkodzić w przyłapanym spędzaniu czasu w Taranto i w Rzymie... (cdn)

JERZY CZECH

10840-A

ŁODZIANIE 1973

W ostatnim, ubiegłorocznym numerze „Odgłosów” zaprezentowaliśmy Czytelnikom kandydatów do tytułu „Łodzianie 1973”. Jest to już szósty tego typu plebiscyt organizowany przez „Odgłosy”, a po raz pierwszy wspólnie z „Expressem Ilustrowanym”.

Przypominamy, że w naszym plebiscycie do tytułu „Łodzianie 1973” kandydują:

- Delfina Ambroziak — solistka Teatru Wielkiego,
- Jadwiga Andrzejewska — aktorka Teatru Powszechnego
- Zdzisław Ciechanowski — współwórcza elektronicznego urządzenia do bezpośredniego masażu serca „Rekard-4”,
- Wiesław Garboliński — artysta malarz,
- Wanda Karczeńska — pisarka,
- Antonina Kłoskowska — socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego,
- Andrzej Olczak — pracownik „Wifamy”,
- Henryk Rudnicki — dziennikarz, autor felietonów „Ze środy na piątek”, drukowanych w „Głosie Robotniczym”,
- Konstanty Rychlik — pracownik „Hydrobudowy-6”, budowniczy wodociągu Sulejów-Łódź,
- Mirosław Wiśniewski — architekt.

Przypominamy, że kupony plebiscytowe z zaznaczonymi nazwiskami trzech wybranych kandydatów można nadsyłać do 1 lutego 1974 roku.

ŁODZIANIE 1973 (Kupon plebiscytowy)	
1. Delfina Ambroziak	<input type="checkbox"/>
2. Jadwiga Andrzejewska	<input type="checkbox"/>
3. Zdzisław Ciechanowski	<input type="checkbox"/>
4. Wiesław Garboliński	<input type="checkbox"/>
5. Wanda Karczeńska	<input type="checkbox"/>
7. Andrzej Olczak	<input type="checkbox"/>
6. Antonina Kłoskowska	<input type="checkbox"/>
8. Henryk Rudnicki	<input type="checkbox"/>
9. Konstanty Rychlik	<input type="checkbox"/>
10. Mirosław Wiśniewski	<input type="checkbox"/>
Nazwisko i imię
Adres
Zawód

- ★ CWIERCWCIEZE R W P G
- ★ NOWY PREMIER — STARY KURS
- ☆ IZRAELSKIE WYBORY

Agencja TASS opublikowała wywiad sekretarza RWPG — Nikołaja Faddiejewa. Przypomniał on, że właśnie przed 25 laty odbyła się w Moskwie narada przedstawicieli sześciu krajów wspólnoty socjalistycznej, która mogła uznać za założycielską Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, pierwszej w świecie organizacji gospodarczej krajów socjalistycznych. Dziś RWPG liczy dziewięciu członków, a w tej liczbie dwa kraje pozaeuropejskie: Mongolię i Kubę.

Cwierćwiecze działalności Rady zapisało się dużymi osiągnięciami: nastąpił socjalistyczny podział pracy, skonkretyzowane zostały zasady integracji gospodarczej. Wspólnota krajów RWPG stała się też najbardziej dynamicznie rozwijającym się rejonem świata. W ub. roku produkcja przemysłowa tych krajów była o 8,4 razy wyższa niż w 1950 roku, a rolna o ok. 2,2 razy. Nic więc dziwnego, że kraje RWPG, które obejmują 18% terytorium kuli ziemskiej i 10% ludności świata, dają 33% światowej produkcji przemysłowej. Kompleksowy program rozwoju, przyjęty przez sesję RWPG w 1971 roku, a obliczony na 15—20 lat, nakreślił nowy etap współpracy gospodarczej. Praktyka minionych dwóch i pół lat od jego przyjęcia potwierdza, jak słuszną jest linia strategiczna w nim nakreślona. Realizując program socjalistycznej integracji gospodarczej — podkreślił N. Faddiejew w swym wywiadzie — kraje RWPG będą nadal przyczyniać się do rozwoju światowego handlu, wszechstronnej współpracy produkcyjnej z krajami trzecimi oraz gospodarczego i kulturalnego postępu krajów rozwijających się.

Do zacieśnienia gospodarczej współpracy krajów socjalistycznych duży wkład wniosła również Polska. Nasze rezultaty ekonomiczne mają swe źródło także w sile gospodarczej innych krajów socjalistycznych i coraz sprawniejszych formach współdziałania. Rozpoczęliśmy przegląd bieżących wydarzeń od jubileuszu, przypomniemy więc jeszcze jedną okrągłą rocznicę: 15-lecia rewolucji kubańskiej. W noc sylwestrową 1958 roku proklamowane zostało pierwsze na półkuli zachodniej państwo socjalistyczne. W tym okresie Kuba stawiać mu-

siała czoła wielu niebezpieczeństwom, ale wszystkie: zewnętrzne i wewnętrzne odparła zwycięsko. To niewątpliwie wpłynęło na narastanie fal rewolucyjnej w krajach lotynoamerykańskich. Jakże przyjął ona rozmiary i czym groziła burżuazji — można wnioskować po licznych sukcesach sił postępowych w latach 70. I choć zaniepokojona tym reakcją przystąpiła do kontrofensywy, sięgając nawet, jak to miało miejsce w Chile, do kontrrewolucyjnego puczu, procesy radykalizacji mas latynoamerykańskich już się nie powstrzyma.

Po tych rocznicowych refleksjach — przejdźmy do kilku bieżących wydarzeń.

Rzadko na tym miejscu piszemy o Hiszpanii. Ale tym razem jest po temu szczególny powód: zabójstwo premiera Luisa Carrero Blanco i mianowanie na jego miejsce — Carlosa Ariasa Navarro.

Fakt zamachu potwierdził powszechne przekonanie, że w Hiszpanii rozrasta się podziemny front jako reakcja na dyktatorskie rządy Franco. Zabiegi jego zwolenników, aby wyznać, że kraj ten podlega ostatnio pewnej metamorfozie w kierunku demokracji burżuazyjnej, nie mogły zmylić nikogo, kto uważnie obserwuje sytuację w Hiszpanii. Nominacja Carlosa Navarro na nowego premiera rządu zrzuca i tę zasłonę. Navarro znany jest bowiem ze stanowczości, z jaką zwalcza wszystkich przeciwników politycznych generała Franco. Agencja AFP charakteryzuje go jako człowieka silnej ręki, groźnego, cieszącego się największym respektem wśród policjantów. Wybór właśnie jego na szefa rządu oznacza podtrzymanie twardej polityki. Co to zaś oznacza dla Hiszpanii? Pogłębianie się politycznego i społecznego kryzysu.

Z innych wydarzeń warto zwrócić uwagę na wybory parlamentarne w Izraelu. Interesowały one opinię publiczną na tle ogólnej sytuacji bliskowschodniej.

Z doniesień agencji i komentarzy w prasie zachodniej wynikało, że

wybory te mogą przynieść dalszy zwrot na prawo i zapewnić zwycięstwo blokowi nacjonalistycznemu. Znane nam w chwili pisania tych słów wstępne wyniki wyborów nie potwierdzają tego. Front Pracy utracił wprowadzić kilka mandatów, ale nadal ma ich najwięcej (najprawdopodobniej 50 wobec 40 bloku nacjonalistycznego). A mimo to już pojawiły się spekulacje co do wpływu tych wyborów na przebieg rozmów genezyjskich. Obecny skład parlamentu — piszą niektórzy komentatorzy — może zagrozić szansie pokojowego rozwiązania konfliktu, gdyż obecnie będzie jeszcze mniejsza skłonność Izraela do ustępstw terytorialnych.

Rozeszyły się też pogłoski, że Golda Meir rozczarowana jest wynikami wyborów i wolałaby, aby kto inny formował nowy rząd. (Najbliższe dni zweryfikują tę wiadomość).

Czytając doniesienia i komentarze zachodnie nie mogą oprzeć się wrażeniu, że celowo rozsiewa się niepokój, aby z góry — wynikami wyborów — uzasadnić chęć przewleknięcia rozmów genezyjskich i brak gotowości do podjęcia konstruktywnych rozwiązań.

Tymczasem w Genewie toczą się rozmowy wojskowych przedstawicieli Egiptu i Izraela na temat rozdzielenia wojsk. Ostatnie depesze sygnalizują postęp i oczekiwanie na rychłe osiągnięcie porozumienia. Umożliwiłoby to rozpoczęcie drugiej fazy plenarnych obrad konferencji w planowanym terminie 21 stycznia. Jak już pisaliśmy, będzie to faza znacznie trudniejsza niż pierwsza, gdyż wtedy dopiero przystąpi się do omawiania zasadniczych aspektów problemu bliskowschodniego.

WITOLD SŁAWSKI



— A teraz niech pan powtórzy: człowiek nie jest stworzony po to, żeby żyć wiecznie...

„BICZYSKIEM PO ŚLIPIACH...”

Pewien mój znajomy — stary rolnik spod Łowicza, w chwilach szczególnej irytacji miał zwyczaj mawiać: „tylko wziąć biczyśko i po ślipiach...” O ile wiem, to ten łagodny i dobry człowiek nigdy swojej groźby nie wprowadził w czyn.

Przypomina mi się jednak to powiedzonko, gdy widzę reakcję niektórych ludzi — daleko elegantniejszych w słowach niż stary rolnik spod Łowicza, ale posługujących się nieraz biczyśkami i walącymi bliźnich po ślipiach. Oto niedawno komentator sportowy łódzkiej TV p. Madeja (na szczęście nie mający nic wspólnego z moją redakcyjną koleżanką) — przejechał biczyśkiem po ślipiach organizatorów łódzkiej Giełdy Piosenki. Nie ukrywam, że z giełdą łączy mnie osobiste wiele, bo wiem przyłożyłem ręki do jej

powstania i byłem jurorem listopadowego koncertu. A właśnie o listopadowy koncert szło.

Nie ukrywam również przekonania, że opinii o Giełdzie każdy może głosić taka, jaka komu się nasuwa. Jednemu się podoba ta impreza — innemu nie. Wolno też publicznie krytykować imprezę przedstawioną do publicznego oglądu... Można także publicznie napisać, że kompozytor Leszek Orlewicz nie zna się na muzyce, a literat Jerzy Wilmański nie zna się na poezji.

Są wszakże sytuacje, w których powinna zadrzeć ręka temu, kto bierze biczyśko w dłoń. P. Madejowi ręka nie zadrażała — widać więc jestem — w imieniu organizatorów — drobne oświadczenie.

Oto do listopadowej giełdy zgłoszono dwie piosenki p. Madeja

— komentatora sportowego łódzkiej TV. Jedną z tych piosenek nie została dopuszczona do koncertu, druga nie znalazła uznania w oczach jury. Ani w oczach publiczności.

Na koncert przybyła ekipa łódzkiej TV pod przewodnictwem p. Madeja, który materiał filmowy z giełdy zgłosił redakcji kulturalnej LOT. Zgłoszenie i materiał zostały przyjęte i w ten oto sposób p. Madeja znalazł się w sytuacji recenzenta własnej twórczości.

Osobiste niepowodzenie autora tekstów piosenek jakoś dziwnie wpłynęło na ton i charakter relacji dziennikarza dysponującego środkami masowego przekazu. Nie widzę nic dziwnego w fakcie, że p. Madejowi nie podoba się impreza, na której przepadają jego utwory. To przecież bardzo ludzkie.

Jest wszakże nienaturalna sytuacja, kiedy dorosły człowiek zachowuje się jak obrażone dziecko, osiada, że zabiera swoje galangki i jeszcze się poskarży mamusi — telewizji. Jeszcze dziwniejszy jest fakt, że w prywatnych dasach p. Madeja bierze udział państwowa instytucja i to tak poważna jak TV.

P. Madeja posiada jury o stroniowości. Zdaje się, że wiem o co chodzi. Nagrodzona bowiem została piosenka do słów Tadeusza

Makowieckiego. I tu jest ples po grzebaniu. P. Madejowi coś się pomylilo. Tadeusz Makowiecki, to nie jest ten Makowiecki z „Odgłosów”, lecz zmarły 22 lata temu profesor literatury z Poznania. A kompozytor nagrodzonej piosenki to młody student Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. Tak więc obaj autorzy to ludzie nieznanymi nie tylko jury, ale w ogóle szerzej nieznanymi. Nagroda dla tej piosenki świadczy najlepiej o bezstronności jury.

Nie muszę się zresztą tłumaczyć z tej decyzji, p. Madej był na koncercie i słyszał oklaski, witał się tak właśnie wyderki jury.

Po co więc p. Madej się ośmiesza? Nie wiem. Gdybym był na jego miejscu, albo bym się nie zgodził na wykonywanie swoich piosenek w koncercie, który mam oceniać, albo bym nie napisał.

P. Madej wybrał inne rozwiązanie, wziął biczyśko i zaczął walić po ślipiach. Irytacja go poniosła. Nawet go rozumiem, nie mogę tylko pojąć, czemu w całym LOT nie znalazł się choć jeden człowiek życzliwy p. Madejowi. Cemu młodemu, zdolnemu dziennikarzowi pozwolono się tak ośmieszyć.

WIDOK



O PÓŁNOCY NA DRZEWIE CISOWYM

Jak nas poinformował świetnie zorientowany we wszelkich rewelacjach „Przekrój”, pewien duński lekarz stwierdził, że każdy papieros skracca człowiekowi życie o 15 minut. Różne uczone gremia sprawdzały ponoc tęzę Duńczyka i ze smutkiem widzieli, że palenie papierosów jest zmuszone. Tezę tę potwierdził.

Wynika z tego niecierpliwie optymistyczny wniosek, że palące są najbardziej żywotnymi wśród ludzi. No tak. Przeciętnie spalać przeciętne 30-32 papierosy dziennie, czyli skracają sobie życie co dzień o osiem godzin. W skali roku wynosi to już pełne cztery miesiące, a w skali 50-letniego pozostawania w sponach nałogu nikotynowego — 17 lat.

Tak więc każdy ze starszych panów, gdyby nie to, że kiedyś nauczył się palić, żyłby o 17 lat dłużej, mielibyśmy więc na świecie dziesiątki milionów stulatów. Dlaczegoż więc my, niepalące, z takim trudem i postęki-

waniem dobijamy do zwykłej renty?

Analogicznie przedstawiałaby się zapewne teoria, głosząca przez jakichś tam Szwedów, że również pocatunek w usta pochłania tyle energii życiowej, ile trzeba dla podtrzymania życia organizmu przez kwadrans. Znow ten magiczny kwadrans. Całując się palące powinni umierać zaraz po maturze, a tybetańscy asceci powinni żyć po trzydziestu lat, o ile taką abstinencję można nazwać życiem.

Już są tacy futurologowie, którzy przepowiadają całkowite zaniechanie przez oświeconą ludzkość niehigienicznego obyczaju całowania się, i to w same usta. W rękę już przestajemy. Czy reszta powierzchni ciała będzie tolerowana, jeszcze nie wiadomo. Może przez jakieś antybakteryjne filtry, może pod warunkiem natychmiastowej kąpieli w nadmanganianiu potasu. Nasi prawnikowie wymyślą sobie lepsze, nowoczesne, naukowe metody

trucia i skracania życia: powierze pełne spalin, mleko z chlorem, wodę z siarkowodorem, owoce z gutaperki i bęsztyki z ropy naftowej. Smacznego, szczególniej podróży. My, zaciężni, pozostajemy przy tradycyjnych pocatunkach, dopóki tylko są po temu chętni partnerzy płci przeciwnej.

Jak wiadomo, bezczynne leżenie i w ogóle brak ruchu ogromnie osłabia mięśnie, w tym zwłaszcza mięsień sercowy, przez co osłabienie szanse na długowieczność spadają. Jeszcze nikt nie obliczył, ale pewnie się taki znajdzie, o ile krócej żyje człowiek za cenę każdej godziny leżenia. Kręcka można dostać. Czy nie prościej i najzupełniej zgodnie z prawdą powiedzieć zwyyczajnie: każdy przetrzy dzień skracca życie o cały dzień? J tem gotów udowodnić tę tezę na kilku miliardach przykładów.

Do różnych tego typu historyjek przybieranych w niby naukowe formuły i komentarze radziłbym ustawiać się z dużym sceptycyzmem. Już nawet próbuję się nam „naukowe” uzasadnić (a czyni to znowu nieoceniony „Przekrój”), że wystarczy zbudować białe koło w kształcie ostrosłupa (piramidy, pudełko, szalas), i dokładnie w środku jego wysokości powiesić białe cię, pod jednym tylko warunkiem: żeby

wisiało dokładnie wzdłuż osi północ-południe, — a już owo zawieszono ciało staje się wyzwolone spod wpływu wszystkich praw fizycznych i chemicznych. Zdechłe koły pięknie i bezwonne wysychają, bęsztyki tatarskie przez tysiąc lat nie traci smaku, ogórek przez tyleż lat zachowuje zdolność rozrastania się zawartych w nim nasion. Same cuda. Należałoby postudniować księgi średniowiecznych mędrców — tam byśmy takich cudownych recept z pewnością więcej. Weź żabie oko, ugotuj w szczyrim mleko o północy na drzewie cisowym, w tygodniu cynowym...

Michalki były zawsze smakowitą przyprawą oschłych serwisów informacyjnych, jakimi karmiły szych czytelników prasa. Zazwyczaj podawano takie michalki kowate ciekawostki „cum grano salis”, czyli z małym perskim oczkiem dla zabawy. Boy proponował nawet wprowadzenie perskiego oczka jako nowego znaku przestankowego — żeby uniknąć nieporozumień. Gorzej jest, kiedy te same michalki podaje się z powagą do wierzenia, a przynajmniej do głębokiej rozważli wcielania wniosków. Rozważam tedy i myśle: całować, czy budować piramidy?

CWIEK

UMOWA I UŚMIECH

małości” i od organizatorów występów japońskiego teatru awangardowego. A domaga się tego dlatego, że po występach awangardowego teatru z Japonii dostała szkolu, odczuwała lekko i otrzymała lekarskie zalecenie udania się na kurację do uzdrowiska.

Opowiadam jednak te historyjki nie dlatego, że jest niecodzienna, ciekawa, a nawet wręcz sensacyjna. Jest jednocześnie pouczająca w tym, że chodzenie na awangardowe przedstawienia teatralne może grozić utratą zdrowia i równowagi psychicznej. A jednocześnie uświadamia nam problem odpowiedzialności w stosunkach instytucja-klient.

Już przed kilku laty inna zupełnie pani zaskarżyła MPK do sądu w jednym z polskich miast za niedotrzymanie umowy. Ową panią MPK nie dowiozło do końca trasy. Sąd tedy skazał przedsiębiorstwo na zapłacenie symbolicznej złotówki, gdyż uznał, że MPK istotnie nie wywiązała się z umowy, jaką zawiera każdorazowo z pasażerem w momencie kupna przez tegoż biletu tramwajowego czy autobusowego. Historia ta też odbiła się głośnym echem w całej prasie, ale skończyła się tylko na tym. A przecież później nie jeden i nie dwa razy i to nie tylko MPK, ale i PKP i PKS i inne przedsiębiorstwa, których zakłady „świadczą usługi dla ludności” nie wywiązały się z umów, jakie zawierają ze swoimi klientami. I nikogo nie przerażał precedens sądowy — wyrok sądu, który za karygodne uznał naruszenie interesu klienta.

Nie namawiam nikogo do przenoszenia sporów między przedsiębiorstwem usługowym a klientem na sądowe forum. Sądy i tak mają co robić. Muszę jednak przyznać się, że sam mam czasem ochotę wnieść taką sprawę do sądu, kiedy jestem świadkiem jaskrawego naruszenia interesów klienta przez instytucję powołaną do jego obsługi. W powstrzymuje mnie przed tym tylko świadomość, że byli już tacy, którzy szukali sprawiedliwości w sądzie, znajdując ją, ale nie odnosiło to głębszych skutków społecznych. Przywykliśmy bowiem do tego, że „usługodawca” może nie dotrzymać umowy, że „ma do tego prawo”, że są „obiektywne przyczyny” dla których może on postąpić dowolnie, nie licząc się z interesem klienta. Przywykliśmy, że pociąg może się spóźnić, że autobus PKS może nie zatrzymać się na przystanku, że w pralni mogą odmówić przyjęcia bielizny do prania, bo właśnie „mają grypę”, albo że remontu mieszkania teraz nie zrobią, bo „nie mają ludzi”. Klient jednak zawsze ma rację i dlatego może spokojnie czekać aż „usługodawca” będzie miał dla niego czas i chęć.

Kiedy w wagonie sypialnym zapytałem kiedyś konduktora, dlaczego nie ma wody, usłyszałem w odpowiedzi proste wyjaśnienie: — bo instalacja nawalila! Myślę, że „Wars” powinien w takich wypadkach pouczyć swoich pracowników, że powinni oni obciążać pasażerów i przeprosić ich za taką — bądź co bądź — niedogodność. Albo — po prostu — nie dopuścić niesprawnego wagonu do ruchu. Tylko wtedy wszyscy pragnący odbyć podróż na leżącą musieliby stać w korytarzu normalnych wagonów, bo przecież rezerwowego wagonu nie ma. Więc lepiej jechać bez wody, ale jechać na leżącą i mieć wiele innych powodów do radości. Po pierwsze — że jedzie się sypialnym, po drugie — że jest ciepło, bo zdarza się w wagonie też chłód zimowy, a po trzecie — że można napić się piwa, kawy czy herbaty. Zawsze to luksus. Drzewiej bywało gorzej.

Nie narzekam jednak, pamiętam bowiem, co kiedyś zalecała Irena Dziedzic: — Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej! Uśmiecham się więc, taki już jestem optymistą. A nawet wierzę, że jutro rzeczywiście będzie lepiej i poczucie usług — we wszystkich formach i zakresie — będzie odpowiadać rzeczywistości.

RODAK

POCZTA LITERACKA

Witold B. Łódź. Rzeczywiście trzeba — jak Pan pisze — pracować nad tymi wierszami. Są one bowiem połączeniem zwrotów wyświechtanych i zużytych wśród nich wszakże pojawiają się jakieś iskierki. Są to jednak — jak powiedziałem — iskiereki tylko. Trzeba z nich rodmuchać płomień. Na razie zbyt wiele tu banału, zbyt wiele nieporadności.

Marek S. Łódź. Przysłała Pan swój wiersz z prośbą o wydrutowanie w rubryce „Sex w literaturze”. Myślę, że powinien Pan zauważyć, że w tym cyklu drukujemy teksty autorów albo wielkich, albo przynajmniej głośnych. Bo nie zawsze wielkość idzie w parze z popularnością. Nie jest to jednak zasadniczy powód, dla którego nie spełnimy Pana prośby.

„Nie tak dawno się tiliła Miłość między nami
Pamiętam jak w kurczowym objęciu ramionami
Nasza całość się wila...”

Proszę Pana — seksu tu nie wile, literatury jeszcze mniej.

Mariola G. Łódź. Wbrew Pani obawom miałem cierpliwość przeczytać do końca. Coś w tym jest, na pewno wiele autentycznych wzruszeń. Jak choćby ten wiersz:

„dam ci las
pełen tęczy
usiądzemy wśród wrzosew
będziesz słońcem
zaklętym w spadających
liściach
nadchodzącą nocą
dam ci
samotną różę w koszu
pełnym kwiatów
przyjdziesz...”

Oczywiście wyrafinowany krytyk skrzywił się na banal i „gładkość” tego wiersza... Ale Pani zamknęła w nim swoje „naście lat, swoje wzruszenia, marzenia o miłości... I to jest ładne.

Marek S. Łódź. Pisze Pan: „czy zda się na coś moje pisanie?” Na coś, to znaczy na co? Przecież jeżeli Pan pisze z autentycznej potrzeby, to już owo pisanie „zda się na coś”. Znaczy — jest Panu potrzebne. Jeżeli natomiast chodzi Panu o to, czy „zda się” na zrobienie kariery literackiej, to już gorsza sprawa. I o wiele trudniejsza. Z Pana wierszy da się wyluskać parę niezłych metafor, kilka niezłych fragmentów — ale przecież wiersz jest całością i nie można go dzielić na kawałki. Czasem jedno fałszywe słowo, niezręczny rym czy nieporadna fraza psują efekt. Trze-

ba, jeśli chce Pan to pisanie traktować serio, nad wierszem pracować, trzeba czytać dużo poezji, analizować cudze i własne wiersze i szukać, wciąż szukać swojego miejsca w życiu i wierszu.

Anna M. Łódź. Te dwa wiersze to coś zupełnie innego od nadsyłanych próbek początkujących autorów. Pani zupełnie świadomie ucieka od tradycyjnie pojętej poetyczności, wiersze są prawie oschłe, surowe, relacjonujące... A właśnie w nich bije jakiś poetycki rytym — zwłaszcza w wierszu o tytule — jakże z pozoru banalnym —

„Szczęście”. Myślę, że te próby warto kontynuować, byle bez pośpiechu, bez myśli o natchmianowym druku, bo to Panią rzuci w wir konwencji ogólnie przyjętych za poetyckie.

A. B. Sieradz. Najbardziej podoba mi się wiersz „Leta”, są w nim niezłe fragmenty. Nietety — także wiele banału, pomieszanie z mitologią i antymateria. Pana wiersze robią wrażenie zupełnie nieopracowanych notatek, brulionów poetyckich, szkiców. Jeśli Pan to pisanie chce traktować poważnie, trzeba nad wierszami pracować. Powtarzam aż do znudzenia, że pisanie wierszy to także systematyczna praca plus mnóstwo lektur. Sprawa jest oczywista i... nikt w to nie wierzy.

KRYTYK





„KARAM-BOLE”

Pod wspólnym tytułem „Karambole” wydał obszerny wybór felietonów opublikowanych w latach 1967-1970 przez Wojciecha Zukrowskiego na łamach dwutygodnika „Nowe Książki”. Autorem, znanym i cenionym pisarzem, nie trzeba czytelnikom bliżej przedstawiać. Jego felietony to nie tylko recenzje przeczytanych przez Zukrowskiego książek, ale bardzo osobiste refleksje, spostrzeżenia, zapiski wydarzeń, w których uczestniczył pisarz, zanotowane spotkaniach z ludźmi parającymi się piórem.

W felietonach znajduje czytelnik wszystkie zalety pisarstwa Zukrowskiego. Jest więc to lektura niezwykle interesująca, a i warto „Karambole” mieć w swojej bibliotece.

Wojciech Zukrowski „Karambole”, „Czytelnik” 1973, str. 357, cena zł 20.-

„ROZMOWA „W KATEDRZE”

Zarówno debiutancki tom opowiadań, wydany w 1958 r. jak i pierwsza powieść „Młasto i psy”, znana także polskiemu czytelnikowi, przyniosły temu młodemu pisarzowi peruwiańskiemu nie tylko nagrody literackie, ale i rozgłos. Mario Vargas Llosa, bo o nim mowa, urodził się w roku 1926, w Limie, studiował filologię i filozofię, doktoryzował się w Madrycie. Jedną z późniejszych powieści tego utalentowanego pisarza jest „Rozmowa „w Katedrze”, która niedawno ukazała się u nas w serii „Współczesna powieść światowa”. Sensacyjna intryga, przebieg całego społeczeństwa peruwiańskiego, ukazanie mechanizmów władzy dyktatorskiej, a także swoboda techniki pisarskiej czynią z tej wielkiej powieści politycznej lekturę pasjonującą i znakomitą.

Mario Vargas Llosa „Rozmowa „w Katedrze”, przełożyła Zofia Wasitowa, PIW, W-wa 1973, str. 676, cena zł 50.-

„SEDNO RZECZY”

Natsume Soseki to jeden z najwybitniejszych pisarzy Japonii dwudziestowiecznej. Jego życie i twórczość literacka przypada na okres kształtowania się Japonii „nowożytnej”. Natsume Soseki, a właściwie Kinunosuke Natsume był przez jakiś czas wykładowcą literatury angielskiej na tokijskim Uniwersytecie Cesarskim, później powrócił do wyznaczonej twórczości literackiej. Rozpoczął ją od powieści, następnie zajął się esejami i filozofią. W pierwszych utworach Soseki dominował ironiczny humor, cełny i dowcipny krytycyzm. W późniejszych, na plan pierwszy wysuwa się analiza psychologiczna z silnymi akcentami pesymizmu. Bohaterowie — wyobcowani, wrażliwi przedstawiciele inteligencji japońskiej, na darmo szukają porozumienia z innymi ludźmi. Takim jest również bohater „Sedna rzeczy”, powieści napisanej w latach 1914-1915 i uznanej za czołowe osiągnięcie Natsume Soseki. Powieść ukazała się w serii „Powieści XX wieku”.

Natsume Soseki „Sedno rzeczy”, przełożył Mikołaj Melanowicz, PIW W-wa, 1973, str. 222, cena zł 25.-

„LATO ZIELONEJ GWIAZDY”

Wil Lipatow, jeden z najbardziej popularnych pisarzy radzieckich średniego pokolenia, znany jest głównie polskiemu czytelnikowi z powieści „Włose ziele” i „Wielki Sherlock Holmes”. Obecnie, w Kłobie Interesów Książki, ukazała się kolejna powieść tego autora — „Lato zielonej gwiazdy”. Jej akcja toczy się na dwa lata przed drugą wojną światową, w syberyjskiej wsi. Spokojne, niemal sielskie życie mieszkańców wsi Ułym jest im, na którym autor kreśli dzieje krótkiej, niespełnionej miłości młodej dziewczyny z miasteczka i chłopca ze wsi. Ta liryczna powieść technicznie ogromna prostota i waleczność, a przebieg bohaterów nabierał innego znaczenia i wyrazu w obliczu zbliżającej się wojny, która nie wszystkim będzie dane przeżyć.

Wil Lipatow „Lato zielonej gwiazdy”, przełożyła Wiesława Karaczewska, PIW, W-wa 1973, str. 193, cena zł 13.-

„ŚWIAT W PRZEKROJU”

Przypominamy zainteresowanym, że właśnie ukazał się rocznik „Świat w przekroju 1973”. Jest to już 14-ty tom encyklopedyczno-informacyjnego wydawnictwa, przynoszący sumę wydarzeń, jakie miały miejsce w roku 1973 i w wypadku wydarzeń szczególnie doniosłych — także w pierwszym półroczu 1973 roku. Poszczególne części to: „Kraje świata”, zawierająca 210 hasel poświęconych państwom niepodległym i terytoriom niesamodzielnym, „Wzrost i problemy polityki światowej”, „Sytuacja gospodarcza świata”, „Organizacje i konferencje międzynarodowe”, „Oświata, nauka, technika”, „Kultura” i „Sport”.

Wydawca — Wiedza Powszechna — zapowiada także kolejny, piętnasty już rocznik „Świata w przekroju”, który ukazuje się w nowym opracowaniu edytorskim w roku 1974.

„Świat w przekroju 1973”, „Wiedza Powszechna”, W-wa 1973, str. 862, cena zł 100.-

WARTO PRZECZYTAĆ

- A. Oledzka-Frybosowa, „Z Paryża w przeszłość”, Wyd. Literackie, cena 40 zł.
- J. Waczkow, „Śpiewki stare ale jare”, LSW, cena 36 zł.
- J. Kwiatkowski, „Klucze do wyobraźni”, Wyd. Literackie, cena 35 zł.
- J. Fowles, „Kochanica Francuza”, PIW, cena 30 zł.
- I. Iredyński, „Człowiek epoki”, Wyd. Literackie, cena 10 zł.
- D. Majewska, „Zbrodnia bez nazwiska”, MON, cena 10 zł.
- C. Norwid, „Pisma wierszem i prozą”, PIW, cena 25 zł.
- J. Przymanowski, „Cztery pancerni i pies”, MON, cena 73 zł.
- J. Gozdawa-Golebiowski, „Pierwsza wojna światowa na morzu”, Wyd. Morskie, cena 120 zł.

FILM

W KABARECIE

Nowa polityka repertuarowa CWF daje powoli znać o sobie. W czasie, jak na nasze przyzwyczajenia, bardzo szybkim mamy na ekranach nagrodzony w 1973 roku siedmioma Oscarami film Boba Fosse'a „KABARET” — za co dzięki, jako że film w istocie jest znakomity i legenda o nim nie zdążyła się zesterzać, tak jak stało się z wielkim i słynnym przed laty musicaliem „West Side Story”.

„Kabaret” Fosse'a jest filmem szokującym, raz po raz budzącym wątpliwości, które ostatnie odpadają pokonane wielkim talentem realizatorów i wykonawców. Właściwie wątpliwości dotyczy jednej tylko sprawy — pogodzenia formuły filmu muzycznego z tematem politycznym, mającym swą wyjątkowo dramatyczną jakość. Banalna opowieśćka miłosna, numery kabaretowe, a w tle obrazy faszyzujących się u początku lat trzydziestych Niemiec. Figle erotyczne w bogatych wersjach przedstawione, wulgarny teatrzyk kabaretowy i pierwsze nazistowskie akcje, katowanie ludzi, prześladowania Żydów i komunistów, narastające fale faszyzujących nastrojów narodu niemieckiego. Te trzy, pozornie wykluczające się

plaszczyny akcji, powiązane są w jedno, którą spina idea nadrzędna. Paralelne ukazywanie atrakcji nocnego lokalu, perypetii głównych bohaterów i społecznego tła obu tych wątków służy jednemu obrazowi — degrengolady moralnej jednostek i degrengolady narodu, której konsekwencje w momencie trwania filmowych zdarzeń nie są jeszcze uświadomione. (Nie można oprzeć się wrażeniu, że obrazu tego mistrzem był dla Boba Fosse'a Luchino Visconti.). Zastosowana przez Fosse'a technika stopniowo narastającego szoku znajduje swą znakomitą pointę w scenie w piwiarni, gdzie rozpoczęła przez wprost anielskiego z urody chłopca nazistowska pieśń „Jutro należy do nas” zostaje podchwyciona przez spokojnych i dobrych obywateli niemieckich.

„Kabaret” jest przede wszystkim filmem atmosfery. Jej dekadentem organizuje wszystkie jego wątki spajając je, tłumacząc i warunkując. W filmie tym piosenka i skecz muzyczny mają swoje jedno, akcją uzasadnione miejsce. Atrakcje „Kit-Kat-Klubu” są takie, jakich oczekują przychodzący doń ludzie — są odbiciem ich nastrojów i pragnień, wykonywane przez wspa-

niałą Lizę Minnelli piosenki są repliką stanu ducha granej przez nią bohaterki. Piosenka i skecz z kabaretu komentuje zdarzenia, dopełnia je, nadaje sensy, których ich uczestnicy jeszcze nie rozumieją, nie znają. W ten sposób „Kabaret” Fosse'a przestał być musicaliem, jest dramatem w muzycznej oprawie. (Skojarzenia z Brechtowską „Operą za trzy grosze” są tu nieuchronne). Uzyskali to twórcy filmu jak gdyby poza głównym wątkiem fabularnym, którego banal i konwencjonalność jest oczywista, wycisnęli z niego to, co było potrzebne, by w przewrotnej konstrukcji filmu obraz rozpaczliwego stacjonowania się w przepaść ludzi i narodu znalazł swą emocjonalną jakość. Jeśli w filmie tym, nawet bez porównań z tradycjami baletowych popisów, sprośności i dwuznaczność piosenek, kupletów i skeczów, to ich uzasadnienie podsuwają natychmiast obrazy drugiego tła, tego spoza kabaretu — ich jakość moralna i emocjonalna jest tej samej natury. Dekadencja kabaretu i dekadencja miasta, w którym egzystuje, to w kabarecie tym mieszkańcy Berlina obejrzeli się mogą jak w lustrze. Tak konstruuje swój film, Bob Fosse zrealizował utwór, który bez kłopotów nazwać może dramatem muzycznym. Ryzykował bardzo wiele i faktycznie „Kabaret” utrzymuje się na cienkiej krawędzi szmiry i doskonałości, a od

widza zależy wybór jednej z tych możliwości — warunkuje go zaś głównie owa próba połączenia wulgarnego w konwencji musicalu z dramatem politycznym. Jeśli wielu opowie się za doskonałością, to zaważy na tym mistrzostwo reżerskiej roboty i inscenizacji oraz talent głównie dwójka wykonawców: Lizę Minnelli w roli Sally i Joela Greya w roli mistrza ceremonii kabaretowego teatrzyku. Minnelli jest wartościową samą w sobie, najgłośniejszym odkryciem kina amerykańskiego ostatnich lat, choć jej droga do sukcesów w „Kabarecie”, mimo znakomitego rodowodu (jest córką zmarłego przed laty gwiazdy Judy Garland i reżysera Vincenta Minnelliego) nie była łatwa. Sukces ten jest tym większy, że ujawnia od razu ogromną skalę talentu tej aktorki. Jej Sally Bowles to żywioł temperamentalny życiowego i scenicznego, to znakomita piosenka i sexy-dziewczyna, a jednocześnie zagubiona w świecie, który chce podbić kobieciątko, to clown i tragic. Taka też jest Liza Minnelli, która na użytek „Kabaretu” włożyła maskę clowna, lecz wydobyla spod niej wszystkie odcienie złożonej psychiki i ludzkiej prawdy swej bohaterki. Liza Minnelli tańczy i śpiewa, gra komizmem i tragicznością — bez jej udziału „Kabaret” nie byłby tym filmem, którym jest.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

CZEKAJĄC NA ŚWIĘTA

Święta, święta i po świętach... Siła tradycji, która każe nam co roku solennie wypełniać świąteczny rytuał jest magiczna. Pomijając jednak względy tradycjonalne, które decydują o treściach świątecznych, myślę, że istnieje jeszcze inny czynnik pełniący wcale niebagatelną rolę w tym rokrocznym, radośnym przymusie przeżywania obrzędu. Jest nim przemożna potrzeba rytmu, który wyznacza bieg naszej egzystencji. Więcej — często stanowi o jego celowości. Zważywszy, iż idea przyrody, wokół nas i w nas dokonuje się w rytmicznych obrotach czasu, można zaryzykować twierdzenie, że egzystencjalna kategoria rytmu, który organizuje nasze życie jest kategoryczna w naszych genach. I dlatego polemizowałbym tutaj z prof. Janem T. Stanisławskim, który zmienił zdanie i od pewnego czasu z godną podziwu i szacunku konsekwencją głosi wyższość Świąt Wielkanocy nad Świątami Bożego Narodzenia. Te ostatnie przewyższają te pierwsze z tego arcyważnego powodu, że zjawiają się co roku punktualnie. Wielkanoc natomiast jest kapryśna, nigdy dokładnie nie wiadomo, kiedy należy jej oczekiwać i dlatego zdecydowanie gorzej wypełnia naszą potrzebę rytmu. Istnieją zresztą nie tylko rytmy świąteczne, choć te są bardzo istotne ze względu na związany z nimi kult biesiadny. Czas pracy czas wypoczynku, każdy „pierwszy” miesiąca, nowy numer „Odgłosów”, dzień i noc, pory roku — wszystkie te regularne ce-

zury próbują nadać pozorny porządek chaosowi naszego potocznego życia, uporządkować nasze poczucie upływającego czasu.

I w tym miejscu nasza poświęcona refleksja dość nieoczekiwanie przecina się z nagłówniem tej rubryki. Nie tylko dlatego, że telewizor zajął tradycyjnie pustą miejscę przy wigilijnym stole i brutalnie wdarł się w intymną atmosferę świątecznego przeżycia, choć ta agresja jest również wielce symptomatyczna. Nie chodzi o to, że telewizja, włączając tradycyjny program przystrojony specjalnie na tę okazję niweczy coraz trudniejszą sztukę familijnej konwersacji i radykalnie zmienia towarzyski konwenans. Sprawa jest poważniejsza: telewizja nieopatrzenie zaczyna decydować o rozkładzie naszego czasu. Coraz częściej statystyczny Polak planuje swoje życie towarzyskie i pozatowarzystkowe z programem telewizyjnym w roku. To anegdota, dotyczy już przypadek, kiedy kilka lat temu jeden z Komitetów Polskiej Akademii Nauk skierował podobno swoje posiedzenie z powodu zbliżającej się godziny emisji dysneyowskiej kreskówki o przygodach psa Huckleberry. Terror telewizyjny upowszechnia się. Trudno dyskutować o konsekwencjach tego zjawiska, które stanowi obecnie pewną konieczność kulturową. Jej kierunek jest nieznan. Jakkolwiek jednak będzie, mniemam, że u podstaw telewizyjnego zacięstwa leży między innymi ów tajemniczy instynkt rytmu, który w

programie telewizyjnym znajduje szczerą satysfakcję. Doświadczenie telewizji zachodniej, bardziej rozwiniętej od naszej, a swoistym ideałem jest w tym zakresie telewizja amerykańska, głosi, że punktualność i rytmiczność programu stanowi żelazną podstawę jego powodzenia. I o dźwię, to ujarzmienie w programowy kierat, który w ściśle określonych godzinach w ściśle określone dni tygodnia wymusza obecność przed telewizorem bardzo odpowiada odbiorcy. Jest to prawidłowość, której nasza bałaganianka ty nie potrafi pojąć i zastosować. Wciąż „poślizgi” i częste zastępstwa bardzo szkodzą jej reputacji i — co najważniejsze — naruszają konieczny rytm telewizyjnego rytuału.

Na marginesie: Z dużym rozbawieniem obserwowałem w ostatniej „Panoramie” ożywiającą dyskusję na temat narodowej manery telewizyjnego „spóźnienia się”. Panowie, zaczynajcie od siebie! Punktualność telewizji, która stanowi jej organiczną konieczność z pewnością miałaby duży wpływ na poprawę społecznego obyczajności. Ta zasada, która winna decydować o ściśle wyznaczonym miejscu każdej audycji utrudnia wszelkie manewry i innowacje redakcyjne. Potężna siła, która sprzeciwia się poważnym zmianom i sprzyja kostnieniu struktury programowej jest przyczyną, że telewizja. Prawo to działa we wszystkich środkach masowego przekazu i jest serwitutem splemianym popularności. Proszę wyobrazić sobie „Przełom” bez Kerna na ostatniej stronie i bez „Krzyżówki z kociakiem”. Przymiemy drobny przykład z ostatnich lat, ale chyba wystarczy: nieudana na skutek gorących protestów widzów próba wprowadzenia nowej czołówki „Polskiej Kroniki Filmowej”. Trudno wyobrazić sobie generalne przekształcenie tzw.

siatki programowej w tv. Wszelkie zmiany muszą być wprowadzane bardzo ostrożnie, gdyż telewizor z trudem przekonuje się do nowego typu audycji i pierwsza reakcja na nowość jest z reguły krytyczna.

Najatrakcyjniejszą częścią programu tv, potwierdzoną przez badania statystyczne są filmy fabularne. Ich ogromna popularność spowodowała podział artystycznych kompetencji pomiędzy filmowym spektaklem kinowym a jego telewizyjnym konkurentem. Specjalnością par excellence małego ekranu są seriale.

Seriał jest gatunkiem, który telewizja odziedziczyła po prasie i po radiu, kradnąc im jednocześnie ważną gwarancję popularności. Te popularność zawdzięcza serial w dużym stopniu swej rytmicznej dramaturgii. Twórcy dobrych seriali potrafili umiejętnie podsycać napięcie widza, zawiązując akcję kolejnego odcinka w najbardziej dramatycznym momencie. Seriale dzięki wyrazistym portretom bohaterów, którzy przeżywają skomplikowane perypetie, wkraczają w obszar naszego życia prywatnego, stają się tematem rozmów towarzyskich i tworzą pewien wspólny rezeruar przeżyć, emocji i doświadczeń. Wciągają widza w życie fikcyjną. Ta identyfikacja jest najdalej posunięta w recepcji serialu programowej. Ona decyduje o kilkunastoletniej popularności sagi roku Matyskiaków. Podobny sukces w naszej telewizji nie został jeszcze powtórzony, choć zna go telewizja amerykańska („Bonanza”).

Pełni współzawodniczą poezją ostatnio szlochająca przy zwłokach kochanki pięknej Madame de Mousereau, której ten felieton pragnę dedykować.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

MUZYKA

TERESA KUBIAK CZYLI MAGIA SŁAWY

Mieliśmy możliwość usłyszeć znów dwukrotnie naszą wybitną i już sławną śpiewaczkę, Teresę Wojtaszek-Kubiak, wychowankę łódzkiej uczelni muzycznej w klasie prof. Olgi Olginy, solistkę łódzkiego Teatru Wielkiego, śpiewaczkę, która w niezwykle krótkim czasie zyskała sobie nazwisko za granicą dzięki udanym występom w pierwszych scenach operowych zachodu, w znakomitej międzynarodowej obsadzie. Nic więc dziwnego, że występy świetnej a ostatnio rzadko w Łodzi słyszanej śpiewaczki przyciągnęły dwukrotnie do filharmonii oprócz stałych i wiernych słuchaczy również tzw. szerszą publiczność, spragnioną jak zawsze kontaktu ze znanym artystą (oddajmy też sprawiedliwość aparycji p. Kubiak, bo i to nie jest pewnie bez znaczenia dla męskiej, z natury bardziej przyziemnej części audytorium). Zrozumiałe też, że na drugi z tych koncertów, łatwiejszy w odbiorze, a w dodatku nagry-

wany dla telewizji, pchali się ludzie drzwiami i oknami. Temu pomyślnemu wydarzeniu towarzyszyć też mogło nieco smętne refleksje, że mianowicie nadal nielato u nas był prokiem we własnym kraju i dopiero zagraniczne laury poszczą artystę drogę uznania w domowych pieleszach. Ale pewnie jest tak po trosze wszędzie i dla niejednego kraju my też jawimy się jako wielce miarodajna „zagranica”. Z pewnością sukcesy w naszych konkursach chopinowskich ułatwiają w świecie dalszą karierę i chyba też uznanie zyskane przez zagranicznego kompozytora na „Warszawskiej Jesieni” okazuje się potem nie bez znaczenia na rodzimym podwórku.

U nas chyba to zapatrzenie na zagranicę jest ciągle dość silne i po patent na doskonałość trzeba nieraz pielgrzymować do cudzych bogów. Ale też i nieobojętne nam być powinno czy ktoś sobie wyspiewuje zagraniczną sławę na dachu samo-

chodu w mało ambitnych „kawałkach” lub występuje w bylejakich filmach i rewietkach, czy też zarobił sobie na nazwisko w sposób artystycznie najrzetelniejszy, nie idąc na łatwiznę, występując w wielkim repertuarze, jak właśnie Teresa Kubiak. Ale może i czasy nadejdzie lepsze, przychylniejsze dla prawdziwych talentów.

Nasuwa się też refleksja druga, poddyktowana niepokojem o niską frekwencję, kiedy nie stanie na filharmonicznej estradzie sławny solista lub dyrygent. Jakże skromny zasięg oddziaływania mają solidnie przygotowane ciekawie zestawione, wartościowe muzyczne koncerty, umożliwiające prawdziwie przeżycie artystyczne. A przecież nie sposób opierać działalność placówki filharmonicznej na gościnnych występach światowych sław!

Wróćmy jednak do koncertów z udziałem naszej śpiewaczki. Za pierwszym razem Teresa Kubiak dała się usłyszeć w dwóch utworach muzyki współczesnej — Karola Szymanowskiego „Litani do Marii Panny” na sopran, chór żeński i orkiestrę i w Henryka Mikołaja Góreckiego „Ad matrem” na sopran, chór mieszany i orkiestrę. W obu tych utworach śpiewaczka pokazała się od najlepszej strony wokalnie i muzycznie, potrafiła przykuć uwagę słuchaczy do nielatywnej przeciętnej muzyki. Dala też pięknie wykonała bisy.

W drugim koncercie usłyszeli-

śmy arie operowe o niejednakowym u nas stopniu popularności: Pucciniego z II aktu Madame Butterfly i z IV aktu Manon Lescaut, Wagnera arie Elzy z I aktu „Lohengrina” i Dworzaka arie Rusalki z I aktu op. „Rusalka”. Ten właśnie koncert można śmiało uznać za prawdziwy tytuł do chwały dla świetnej sopranistki. Gdyby nie samo wejście w arie Cho-cho-san i nie pewne miejsca w „Rusalka” trudno byłoby dosłyszyc się głosowej niedyspozycji śpiewaczki, która przez większą część koncertu wychodziła obronną ręką z najryzykowniejszych wokalnie miejsc, a w arie Manon wypełniła salę pełnym blasku i ekspresyjnym głosem i nie pozwoliła nam ani przez chwilę zwątpić o swojej wielkiej klasie.

Ale jak sobie poczynać w filharmonii na co dzień? Nie w każdy piątek stanie przed naszą publicznością artystka o światowym nazwisku, a nadal będzie pomimo tego dużo koncertów godnych wysłuchania. Trzeba więc szukać różnych dróg dostarcia do publiczności, rozmaitych sposobów wychowania przyszłego słuchacza i bezwzględnie zapewnić sobie już teraz większy udział młodzieży szkół muzycznych, której ciągle za mało wśród słuchaczy.

Innej rady na co dzień bodaj nie ma i chyba nie będzie.

JERZY KWIECIŃSKI



Złama w mieście

Fot. Archiwum

MAGAZYNEK

ZAKŁADAMY KÓŁKA FILMOWE

Gdy poczujemy, że dojrzelismy już do tego, wycinamy z tektury lub kartonu kółko o średnicy 30 cm. Nazywamy to kółko „kółkiem filmowym” i z zadowoleniem zakładamy je na szyję. Może się okazać, że osoby o większej głowie mają trudności z założeniem „kółka filmowego”. Nie należy wtedy w żadnym razie wpadać w rozpacz, gdyż, być może, i na to znajdzie się jakaś rada

FILM A ŻYCIE

W Przedszkolu nr 6 Janek

K. z grupy średniaków oświadczył po obejrzeniu filmu „W pustyni i w puszczy”, że jak dorośnie, to ożeni się z Nel.



Zaniepokojona pani przedszkolanka twierdzi, że Janek K. nigdy nie rzuci słów na wiatr.

ZWIERZĘTA I FILM

Zupełnie nowe perspektywy otworzyła przed biologią obserwacja zwierząt i ich reakcji w czasie seansu kinowego. Ogólnie można by powiedzieć, że im zwierzę mniejsze, tym mniej interesuje się filmem. Tak np. biedronka wykazała jeszcze mniejsze zainteresowanie niż karaluch. Z drugiej strony jednak, taki koń, przecież duży (większy od karalucha) i z niemałym trudem wprowadzony na salę, nie wykazał proporcjonalnie większego zainteresowania. Badania trwają nadal. Warto podkreślić, że zwierzętom wyświetla się jedynie filmy o najwyższym wskaźniku moralnym i małp nie wpuszcza się w ogóle na salę.

NIE TĘDY DROGA!

W czasie projekcji filmu „Chłopi” pewien złośliwy osobnik rozrzucał po sali kinowej stuziotówki, a potem pięć-

setki. Jednak widownia przejęta magią losów Jagny i Boryny nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Osobnikowi zrobiło się głupio i wyszedł. Po chwili uparty ten osobnik poszedł jednak do innego kina, by rozrzucać dalej. Okazało się na szczęście, że nie ma już ani grosza.

JESZCZE JEDNO ZWYCIEŚTWO!

W telewizorze państwa J. G. z Pabianic zamieszkał sobie krasnoludek. Był bardzo oszczędny i nie świątuch, więc gospodarze tolerowali jego obecność, choć to trochę głupio mieć krasnala w domu. Ostatnio jednak krasnoludek spakował się i wyszedł z telewizora. Widząc zdumione twarze państwa J.G. oświadczył im z godnością: „Wolej film niż telewizję. Idę zamieszkać w kinie. Do widzenia”. Państwu J.G. pomimo dumy z jego postępków, smutno trochę bez ich małego przyjaciela.

IGOR ŚMIAŁOWSKI OPOWIADA...

Jackek Woszczerowicz, w roku 1923, zdawał egzamin do „REDU-TV”. — „Z taką interpretacją może pan iść do cyrku, albo do teatru Zielwierzowicza” — zawyro-kował Limanowski. Woszczerowicz, powtarzając: „i tak będę aktorem” — wyszedł, trzaskając szczy drzwiami. Efekt ten nie był zamierzony. Spowodował to prze-ciąg. — „Błędni!” — powiedział Limanowski do Wiercińskiego — zatrzymaj go. Wydaje mi się, że on ma charakter!”

I tak Woszczerowicz został przyjęty do teatru.

W „Zemście”, w scenie pisanja listu, Zycki stracił się zupełnie. Pomoc suflera nie da-wała rezultatu. Ratawał się biedak machaniem rąk. Biegł po scenie, robiąc jakieś niesamowite miny. Leszczyński, który znał całą „Zemstę” na pamięć, mówił więc za siebie i partnera. W pewnej chwili nie wytrzymał i uderzając otwartymi dłońmi po udach, wykrzyknął:

— A wykrzykniesz ty z siebie chociaż jedno słowo, wszak gadam za nas obu, kapuściana głowo!

Publiczność była przekonana, że słowa te włożył w usta Cześnika sam pan Fredro.

Gabryelski — pierwszy dyrektor Jaracza — zaprosił go po premierze, w której świeżo upieczony aktor grał swoją pierwszą rolę — na „Wielkie przyjęcie”. Składało się ono z wielkiego kufia piwa. Gabryelski patrzył uśmiechając się na pijącego, po czym zaspiewał: „Jak panu smakuje to piwo, w którym mocny pan swoją mordę za moje pieniądze?”

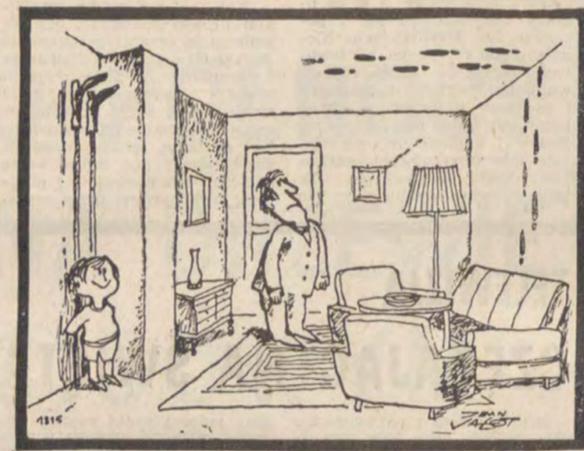
Ów Gabryelski znalazł się na aktorach. Miał jak to się popularnie mówi „nosa”. Poza tym straszliwie sepił. Pewnego razu, angażując do swego teatru młodego adepta, przyglądał mu się bacznie, każde wstąpienie, uśmiało, po czym: „Powiedz pan scotka” — zwraca się do zalek-nionego chłopaka. Ten wiernie

powtarza: „scotka”. „Niedobrze! — ryczy dyrektor. „Scotka — sły-dzisz pan, mówię wyraźnie scot-ka!” Adept dokładnie sylabizuje: „scotka”. Nie! — wścieka się Gabryelski. „Czekaj pan, Osterwa to panu pokazuje. Zawołajcie Oster-wę!” — krzyczy w otwarte drzwi. Młodzieńki pan Juliusz na zaga-danie dyrektora: „Powiedz scotka!” — mówi „scotka”. Zdumiony a-dept odzywa się porywczo: „Ale to nie tak, jak mówi pan dyrektor!”

Jaracz spędzał kiedyś wakacje w towarzystwie swojej córki i Stasia Danilowicza w Zakopanem. Mieszkał wówczas w „Atlasie”. Pewnego ranka Jaracz „poszedł w Polskę i zginął. Stasz Danilowicz i Jaraczówna udali się na poszukiwanie i... odnaleźli go wreszcie. Siedział zadumany u „Karpowicza” nad niedopitym kieliszkiem. Ujrawszy wchodzących uniósł brew: „Stasiu!” — rzekł nieco schrypniętym głosem — „cały dzień ciebie szukałem!”

Stasz Danilowicz — urokliwy aktor o cudownych, marzących oczach, był obiektem wzdychań pięci pięknej. Kiedyś, podczas obiadu w jednej z warszawskich restauracji, siedział na przeciwko Jaracza. Piękne oczy Stasia wyrażały smutek. Jedną z pań, zafascynowana jego spojrzeniem, spytała po cichu Jaracza: „O czym też duma ten chłopiec?” Gdy wtem Danilowicz, nie zmieni-nając wyrazu zadumy, odezwał się: „Ale ten kotlet kosztuje, który wujek z takim apetytem zjadł!”

Jaracz, pamiętający ciekawie młodocia i wczesnej jaciolom — miał zwyczaj chowa-nia tzw. „zaskórniaków” do któ-rejś z ksiązek swojej olbrzymiej biblioteki. Zapominając, do któ-rej z nich wetknął zaoszczędzony banknot, pożyczal książki przy-jaciolom i znajomym. Kiedyś, będąc ze Stasiem Danilowiczem w restauracji, przy placeniu ra-chunku zabrakło mu pieniędzy. Nagle, ośniony zbawienną myślą zawołał: „Stasiu, skocz do mnie do domu, w „Zawiszy Czarnym” znajdziesz 200 zł!”



MAŁY SŁOWNIK SATYRYCZNY

pod redakcją Adama Ochockiego

- ABSURD — pogląd, który się nie pokrywa z naszym po-glądem.
- ANONIM — człowiek, który ukrywa swoje nazwisko, ale w pełni ukazuje swój charakter.
- BABCIA — członek rodziny, który do późnej starości nie może wyjść z pieluch.
- CHIRURG — humanista, z nożem w ręku.
- GORKA — mni sukienka plus maxi kieszonkowe.
- ETYKIETA — ostatnia szansa polepszenia gatunku to-waru.
- GRACZ W PILKĘ NOŻNĄ — człowiek, który drogę do dobrobytu, samochodu, luksusowego mieszkania to-ruje sobie nogami.
- KAPITULACJA — oddanie całej wypłaty żonie.
- NARKOZA — jedyny sposób uciśnienia pacjenta, żeby nie kibicował chirurgowi podczas operacji.
- OGROD ZOologiczny — ostatnie miejsce schronienia zwierząt przed miłośnikami przyrody.
- SZTUKA — zatłwienie jakiejś życiowej sprawy bez zna-jomości i przemawiania „do ręki”.
- WIERSZ — najłatwiejszy kawałek chleba dla krytyka.
- WNUCZKA — trzecie pokolenie, wychowane przez dru-gie pokolenie, które najętniej pozostawia je pierwszemu pokoleniu.



Fot. W. Parys

POWIĘKSZENIA

FARBOWANY ULAN

Komenda Dzielnicowa MO — Śródmieście poszukuje mężczyzny, który 14 listopada 1973 roku w restauracji „Europa” pozostawił szablę. Prawdziwy ulan nigdy nie zgubi swojej szabli.

KOSMICZNA FATA MORGANA

Kometa Kohoutka ciągle sprawia nam zawód. Świeci mniej jasno niż się tego spodziewano, kryje się za Słońcem. Sprawia ona zawód 1694 pasażerom „Queen Elizabeth II”, którzy za cenę tysiąca dolarów wyruszyli na Atlantyk, aby móc ją w pełni podziwiać. Komety nie widzieli, bo panował sztorm. Nie wysłuchali również odczytu obecnego na pokładzie statku dr Kohoutka, odkrywcy tej komety, bo cały czas cierpiał na chorobę morską. Taka kometa, jaki odkrywca.

WYJAŚNIŁ DOKŁADNIE

— Po trzech latach istnienia zakończyło działalność Zjednoczenie Przedsiębiorstw Turystycznych „Orbis”, zmieniając nazwę i zakres działania. Ponieważ nie wiadomo dokładnie na czym te zmiany polegają — pisze „Życie Warszawy” — prosimy o wyjaśnienie dyrektora Departamentu Prawno-Organizacyjnego GKKFT Zygmunta Bałkowskiego.

— „Życie Warszawy” między innymi zapytało: — Sądzi Pan, że teraz będzie lepiej z informacją i usługami w turystyce?

— Może nie od razu — odpowiedział Z. Bałkowski. — Mam nadzieję jednak, że pozytywne efekty omawianych zmian odczują również podkreszeni — Powiększenia) turyści krajowi i zagraniczni.

Po przeczytaniu wywiadu z Zygmuntem Bałkowskim — prawdę mówiąc — nadal nie wiadomo dokładnie na czym te zmiany polegają. W jednym tylko stwierdzeniu zgadzamy się z Zygmuntem Bałkowskim: — „Przyszłość pokaże”.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

STEFAN ŻEROMSKI

PRZEDWIOŚNIE

Nagle posłyszał, że drzwi na górę otwierają się, schody trzeszczą i kilka osób schodzi na dół. Słychać było śmiech pani Laury, głos jej narzeczonego i jeszcze jakieś osoby. Obecność ostatniej najbardziej niepokoiła Barykę. Do licha! Któż to jest taki?

Tymczasem trzy osoby zstąpiwszy do holu weselo rozmawiały. Pan Barwicki zęgnął się z narzeczoną prosząc ją usilnie, żeby się zaraz położyła — żeby nazajutrz nie męczyła się tak jak dni poprzedni, gdyż będzie na balu źle wyglądać. Trzecia osoba zapewniała go, że „Lola” zaraz się położy. Cezary domyślił się, że to mówi matka pierwszego męża Laury, stara pani Kościelnicza. Siedział skulony na swej kanapie i przechodził istne tortury głupiego niepokoju. A nuż ten Barwicki będzie w tym saloniku czegoś szukał... A nuż ta starsza jeźmość... W istocie kroki czyjeś zbliżyły się do drzwi biblioteki. Weszła pani Laura. Uśmiechnęła się radośnie zobaczywszy tajnego gościa. Rzeka głośno:

- Pała tu zawsze lampę bez potrzeby!
- Szybko przysunęła się do stłu i zdmuchnęła lampę. Barwicki zbliżył się również do drzwi biblioteki. Nastąpiły pożegnalne szeptki i kontrseptki. Wreszcie narzeczonego wyszedł do przedpokoju i na ganek. Wnet dał się usłyszeć turkot odjeżdżającego pojazdu. Pani Laura wróciła do holu i rzekła do swej świnki:
- Och, spać, spać! Strasznie jestem zmęczona.
- Kładziesz się zaraz?
- Zaraz! Zamknę tylko drzwi od sionki. Dobranoc, mamo!

Cezary usłyszał muśnięcie pocałunku i szelest lekkich kroków. Pani Laura przeszła przez bibliotekę i z hałasem

zamknęła drzwi, przez które wdarł się był do tego pokoju. Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów stapania starszej pani po schodach prowadzących na piętro. Później zbliżyła się do Baryki i znalazła w ciemności jego rękę. Ścisnęła jego dłoń w swej rozpalonej dłoni i pociągnęła go za sobą. Dmchnęła po drodze w szkło lampy stojącej w holu i poprowadziła kochanka na piętro, niemal po piętach swej świnki. Stąpali obydwoje tak umiętnie, stopa jednocześnie o! stopy, iż tylko jedno skrzypnięcie każdego stopnia dawało się słyszeć.

Na górze Cezary pchnięty przez Laurę wpadł we drzwi jej sypialni. Był to pokój duży i śliczny, jaskrawo oświetlony przez jasną lampę stojącą na parapecie okna. Rozległy dywan, miękki i p szysty, zaścilał większą część tego pokoju. Stały tu wytworne meble, wisiało dużo obrazów. W niszce, do połowy zasłoniętej piękną kotarą, widać było mahoniowe łóżko, nie rozebrane jeszcze i nakryte kapą.

- Czy pan nie ma kaszlu? — zapytała cicho.
- Nie.
- To niech pan tu wejdzie.

Cezary wszedł do saskiego pokoiku, gdzie stało biurko z przyborami do pisania, a przed nim bujający się fotel. Baryka usiadł w tym fotelu i usłyszał z przerażeniem, że piękna pani z kimś rozmawia. Serce bilo mu teraz nie na żarty. Lecz nacięło, gdy pojał, że to pokojówka rozbiera łóżko swej pani. Wkrótce ta pokojówka szepnąwszy sucho: dobranoc — zamknęła drzwi za sobą. Pani Laura przekreśliła klucz w tychże drzwiach i otworzyła wreszcie skrytkę swego gościa.

- Cezary wyciągnął ręce po zdobycz, owoc tak wielkiego męstwa i strachu.
- Lecz zdobycz odsunęła jego ręce z szeptem:
- Czasem Barwicki wraca z drogi...
- Co takiego? Po co?
- Z nie tłumione tęsknoty do „swego anioła”.
- Czyżby śmiał i dzisiaj?
- Raz tutaj wrócił z drogi i siedział jeszcze dwie godziny.
- Głupiec!
- Głupiec, nie głupiec... Umówiliśmy się, że gdy odje-dzie, ja zawsze będę siedziała w oknie dopóty, dopóki la-

tarnie jego wolanta będzie w polach widać. Tak o to pro-sił! Tak błagał! Jest to potrzebne dla jego spokoju, dla ciszy jego narzeczonych, przedślubnych snów. Na znak czuwania, myślenia o nim, marzenia na jawie i tęsknoty za fiksatuarem jego wąsów, podkręcam i przyciszam światło lampy, gdy on odjeżdża i zdąży przez pola do szosy. Takie są nasze sygnały miłosne. A teraz — co pan ze mnie zrobił?

- Teraz — niech go wszyscy diabli prowadzą!
- Muszę podkręcać i przyciszać światło, bo gotów tu jeszcze wrócić.
- No, to ja będę pokręcał ten kłot. Już ja mu to fajnie odstawię!
- To straszne, panie! To perfidia! A dlaczegoż nie ja?
- Pan! przeskadzają suknie... Suknie!
- W rzeczy samej Cezary, stanawszy przy szerokim, skle-pionym u góry, wielkoszyby oknie, zobaczył w głębi nocy dwa kręgi światła latarni, posuwające się w poprzek ciemnej, nie-róbitęj otchłani. Przykręcał z precyzją światła lampy na oknie, a po pewnym czasie wydobyl znowu tak wielkie, że aż kopę wybuchnął ze szklanego cylindra. Po chwili zaczął wyciągnięty kłot wkręcać do środka rezerwuaru, wskutek czego światło omdlewiaczo zmniejszało się, ni-czym spazmatyczna miłosna ekstaza. Doprowadziwszy płomień lampy niemal do zupełnego zaniku Cezary ją pod-nosił go znowu do zenitu. Czynił to dotąd, dopóki dwa świetne koła malejące w nocy nie znikły zupełnie... Wtedy dwa obnażone ramiona ujęły jego kędzierzawą głowę i odwróciły ją od okna. Śmiech radości zabrzmiał. Cezary stoczył się z podwyższenia (przy oknie w objęcia czystego szczęścia.

(Fragment)

Stefan Żeromski (1864—1925) najwybitniejszy pisarz polski pierwszej połowy XX wieku. Wywarł wielki wpływ na świadomość społeczną i patriotyczną kilku pokoleń polskiej inteligencji. Wzbogacił język powieści i rozluźnił jej kom-pozycje przez wprowadzenie rozbudowanego komentarza liryczno-krajoobrazowego.